Nr 29. Warszawa, dnia 4 (16) Lipca 1898 r. Rok XVIII.

PRAWDA

FILOZOFIA — NAUKI SPOŁECZNE — NAUKA PRZYRODNICZE — HISTORYA — JĘZYKOZNAWSTWO — SZTUKA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rs. 2, rocznie rs. 8, z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie **rs. 2** kop. 50, rocznie rs. 10.

Adres: Nowogrodzka Nr. 39.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya Prawdy oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

POLITYKA.

Cavaignac i Dreyfus.

Nowy rząd francuski znajdował się jeszcze w stanie embryonu, kiedy obywatele z zasady nienawidzący Żydów odgrażali się, że go powitają interpelacyą o Dreyfusa. Obywatel Castelin już za poprzedniego rządu stał na straży dóbr narodowych; stanął i za nowego. Zapowiedziana zaraz po utworzeniu się gabinetu Brissona interpelacya d. 7 b. m. przyszła pod obrady Izby. Interpelant ubolewał nad niepokojem przez przyjaciół Dreyfusa od dwóch lat szerzonym, nad znieważaniem armii i niemocą rządu. Minister Cavaignac, kiedy jeszcze był zwykłym śmiertelnikiem, przemawiał głośno za ogłoszeniem protokółu zeznań kapitana Lebrun Renaud (w dniu egzekucyi na Dreyfusie, na początku stycznia 1895 r.) niechże teraz protokół ten ogłosi, niech syndykatowi Dreyfusowskiemu zaknebluje nim usta. Jeśli do napiętnowania bezprawia potrzeba praw nowych, da je chętnie i sam Castelin i cała Izba. Tylko niech raz już rząd wyprowadzi naród z mroku. Tak, naród, bo sprawa Dreyfusa stała się dla Francuza sprawą narodową. Walczą Gwelfy z Gibelanami, ściera się prawda z niecnotą, aryjska sprawiedliwość z semicką niegodziwością. Ten sam naród, który Panamczykom sejmowym z błota powydobywać się pozwolił, teraz zapłonął żądzą niepokalanej czystości i chce brud dreyfusowski zetrzeć z siebie, radykalnie już i ostatecznie.

Cavaignac miał pierwszy występ świetny — tak świetny, że gdyby manifestacyą mierzyć wolę pod nią ukrytą, możnaby naszemu ministrowi wojny wróżyć nawet kandydaturę na prezydenta po Faure'ze. Zaczął od tego, że rząd rzeka się przywileju rzeczy osądzonej; daje światło, jakie ma niezależnie od zapadłego wyroku. W świetle tem widać sąd na Dreyfusa wyrokujący bez namiętności podług sumienia, widać sąd na Esterhazego uniewinniający go dla braku dowodów winy. Ale dowody są. Esterhazego spotka zasłużona kara. Wyrok na Dreyfusa stoi, obalonym być nie może i rząd potrafi zapewnić dlań poszanowanie i kto na ten wyrok napada, napada na armię. „W tej chwili uczucie narodowe jest tak podniecone, że opinia zgodziłaby się nawet na *środki ukrócające* dla zapewnienia szacunku dla armii,“ która jest dumą Francyi i Francyi nadzieją. Ale armia bez takich środków nadzwyczajnych się obędzie: odbiera już sama przez się miłość i cześć od narodu, pod zwierzchnictwem władzy cywilnej. Mniejszość za Dreyfusem jest zbałamuconą: trzeba ją oświecić. „Co do mnie, *mam absolutną pewność winy Dreyfusa*“ — zakończył minister pierwszą część swej mowy; w drugiej wyjrzał poza Francyę pod dzielnem hasłem, jakiego żaden z poprzedników jego wydać nie śmiał: „Jesteśmy panami w swoim domu i możemy sprawy swoje rozstrzygać tak, jak się nam podoba.“ Do tych słów myśl już sama dodaje: „Nie lękamy się dyplomacyi niemieckiej, cesarzów niemieckich, Niemców.“

Służba wywiadowcza we francuskim ministeryum wojny posiada przeszło tysiąc listów z doniesieniami. W ich liczbie są trzy dotyczące Dreyfusa: w pierwszym, z d. 1 marca 1894 r., czytamy: „Spodziewam się jutro mówić z panem; D. dostarczył mi zajmujących rzeczy;“ w drugim, z d. 16 kwietnia t. r., tej samej ręki, mowa jest o planie jakiejś fortecy, dostarczonym przez tego „kanalię D.;“ w trzecim dosłownie: „Powiem, że nie miałem nigdy stosunków z Dreyfusem; nikt nie powinien wiedzieć, żeśmy z tym Żydem utrzymywali stosunki. Prócz tych trzech dokumentów — wyszłych prawdopodobnie od owego Schwarzkoppena, który do początku procesu Dreyfusa był pełnomocnikiem wojskowym Niemiec w Paryżu, Cavaignac ma w rękach swych jeszcze czwarty, ale widocznie przez tak wysoką osobą pisany, że go w Izbie odczytać „nie mógł.“ Jeśli dokument ten nie pochodzi od samego cesarza Wilhelma — co prześwitywało już w procesie Zoli — napisać go mógł ambasador Münster. Tutaj uświęcony już zwyczaj silniejszym się okazał od całej odwagi — i nie można się temu dziwić. Jeżeli sam cesarz wpływa do sprawy, odczytanie jego słów bez jego pozwolenia — byłoby osobistą dla niego obrazą.

Dziwić się za to potrzeba dlaczego minister nie odczytał owego protokółu zeznań kapitana Lebrun-Rénaud'a, o których pisano tu w swoim czasie (w r. zeszłym). Pisma francuskie przypomniały je ze współczesnych doniesień podczas procesu Zoli; powoływano się na nie i w samym procesie.

Zamiast owego protokółu Cavaignac odczytał list gen. Gonse'a do ówczesnego ministra wojny, podający takie słowa z ust Dreyfusa zasłyszane przez Renauda: „Minister wie, że jestem niewinny, i kazał mi to powiedzieć przez komendanta Paty de Clam. Wydałem dokumenty, ale były one bez wartości, wydałem zaś, aby w zamian dostać o wiele ważniejsze.“

Zapowiedź środków powściągających

rozruch szkodliwy dla narodu, charakterystyczne wyrażenie, że siła armii opierać się powinna „nietylko na zaufaniu kraju, ale i na sprawiedliwości“ — zakończyły pierwszy występ ministeryalny nowego ministra wojny w Izbie.

Pułkownik Picquart, obrońca Dreyfusa, skarcony surowo przez swą zwierzchność, zapowiedział złożenie dowodów, że dwa pierwsze owe listy nie dotyczą skazańca na Dyabelskiej wyspie, a trzeci jest sfałszowanym. Dopóki dowodów nie złoży, musimy wierzyć Cavaignacowi, że Dreyfusa skazano według sumienia, sprawiedliwie, i wszystkich, którzy go bronią, uważać za obałamuconych lub obałamucających. Ale błąd czy podstęp na tem się kończy; wina Dreyfusa nie oczyszcza Esterhazego. Ten jest rzeczywiście winnym, i po słowach ministra nikomu już wątpić o tom nie wolno, chociaż winę ostatecznie sąd dopiero ustali. Na tym punkcie ci wszyscy, którzy wolali o rewizyę procesu z r. 1894, mieli dobrą sprawę — a gdyby chciano i zdołano dotrzeć do dna czynnych pobudek w ówczesnem ministeryum wojny, możeby wydobyto i fakta stwierdzające powyższe słowa Dreyfusa, wyrzeczone podczas straszliwego obrzędu degradacyi. Szczere światło rzuci dopiero historya, gdy wojna już rozwiąże usta milczeniu lub grób wraz z dostojną osobą pochłonie i jej dostojność, i miłość własną, i prawo do tajemnicy. W mrokach całej tej sprawy przewija się jak wąż błyszczący — cesarz Wilhelm.

Tydzień polityczny. Po krwawych dniach 1 i 2 lipca zapanowała pod Santjago cisza, wzmocniona rozejmem krótkim, dla pochowania ciał. Straty Amerykanów dochodzą do 1,700 poległych i rannych. Sampson na 122 rocznicę niepodległości Stanów Zjednoczonych ofiarował narodowi zwycięztwo na lądzie i zagładę na morzu. Trzy wielkie okręty hiszpańskie i dwa małe zniszczył, „Christobala Colona“ z mielizny ściągnął i zabrał. Szturm z ogniem wydał w moc jego dwa forty, innym większej nie przyniósł krzywdy; ale już system fortów wyszczerbiony, żołnierz nieliczny i fizycznie znużony, dowódzcy bez wiary, wielkie działa oblężnicze i posiłki w ludziach Amerykanom lada dzień spodziewane: oblężeni bronić się będą, bo muszą, po wyjściu znacznej części ludności mają żywność na czas dłuższy; tylko brak amunicyi i upadek na duchu mogą poddanie się narzucić. W Hiszpanii, zwłaszcza wschodniej, nadmorskiej, żądza pokoju wzrasta. Sama regentka zawiązała już układy o zawieszenie broni. Dzienniki wskazują datę 5 lipca jako dzień pierwszych rokowań. Dzienniki wiedzą już o nowych warunkach pokoju: Kuba, Portorico i 1200 mil. fr., port na wysp. Karolińskich. Odbywają się układy po za plecami Sagasty, którego gabinet rozszczepił się na zwolenników pokoju i zwolenników wojny, a od owych rokowań pozagabinetowych już upadł. Teraz Campos zapewne ujmie ster po żołniersku.

Obliczenie głosów, oddanych na wyborach czerwcowych do parlamentu rzeszy niemieckiej wykazało 2,120,000 za socyalistami. Ponieważ wszystkich rzeczywiście głosujących było niespełna 7,700,000, przeto z najłagodniejszego obliczenia wypada „Reichsfeindów“ 28,83% ogółu głosujących — niewiele już braknie do trzeciej części czynnego narodu politycznego.

Prześladowanie w Prusiech nie ustaje. Po zabronieniu zjazdu przyrodników i lekarzy, zabroniono w samym Poznaniu obchodu korporacyjnego, który dotychczas corocznie się odbywał. Na Szląsku mnożą się procesy i ciąganta. Prasa poznańska stale już siedzi w kozie. Policya konfiskuje nawet prawa, poręczone przez konstytucyę. Konstytucya jest też już martwą literą. Nie byłoby nic dziwnego, gdyby ją sejm względem Polaków zawiesił. Są to wciąż jeszcze ruchy cyklopa, przewalającego się pod Etną. Odprawiony kanclerz jest natchnieniem cesarza, który go odprawił: nie mógł mieć większego tryumfu.

Hr. Thun zawiązał układy z Czechami i z lewicą niemiecką o język. Podobno ma on być przywiązanym do terytoryów, a nie do narodowości, jak chciał i zrobił p. Badeni. Niemcy domagają się przedewszystkiem odwołania rozporządzeń z kwietnia 1897 r.

Gabinet włoski przedstawił się już Izbie jeszcze w przeszłym tygodniu; nie sprawił wrażenia. W skład jego weszli: Pelloux, prezes i minister spr. wewn.; Canevaro, admirał z Krety, sprawy zagran.; Finocchiaro Aprile, sprawiedl.; Carcano, skarbowość, Vaschelli, skarb; S. Marzano, wojna; Palumbo, mar.; Baccelli, oświata; Lacava, roboty publ.; Fortis, rolnictwo; Nunzio Nasi, poczta i telegraf. Program rządu dla Izb dość oryginalnie zapowiedziany dopiero na listopad; tymczasem ma rząd program dla samego siebie: ukrócanie, karanie i powściąganie rozruchów. Stan wojenny w Massa Carrara zniesiony.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

KOMISYE.

Wiadomość drobna, która niedawno przesunęła się nieznacznie na szpaltach pism codziennych, ma doniosło znaczenie dla wielotysięcznej ludności prowincyonalnej, zarówno pod względem ekonomicznym, jak i społecznym. Oto Generał-Gubernator warszawski powołał do życia dwie komisye, które mają na celu zbadanie organizacyi straży ziemskiej i warunków jej działania. Nie wiemy, jakiemi drogami i za pomocą jakich środków to badanie będzie przedsięwzięte; nie wiemy i nie możemy na razie przewidywać, jakie reformy następnie będą wprowadzone. To tylko pewna, że reforma i wzmocnienie straży ziemskiej jest warunkiem bezpieczeństwa mas ludności. Dlatego też w przeddzień reformy, a raczej przygotowań do niej, uważamy za obowiązek społeczny choć pobieżnie zarysować ten smutny stan bytu i stosunków, panujących na wsi i zarazem wskazać to, co jest najpożądańsze i najpilniejsze do wprowadzenia.

Przedewszystkiem straż ziemska obecnie bardzo jest nieliczna, nie zawsze składająca się z ludzi odpowiednich, tj. rzetelnych i energicznych. Przytem wszyscy uposażeni są tak licho, że się dziwić należy, jakim sposobem mogą oni pracować i istnieć za tę płacę mizerną. Każdy strażnik pobiera 7 rs. 50 kop. miesięcznie, bez względu czy jest samotnym, czy żonatym i dzietnym. Czyż podobna wymagać, ażeby za te pieniądze spełniał należycie

MASANIELLO.

Spojrzyjcie na mapę Hiszpanii XVI i XVI wieku. Przypomnijcie sobie te olbrzymie obszary nowego świata, te złotodajne Indye wschodnie i zachodnie, tę połowę Europy, oddającą swej władczyni wszystko, co miała najlepszego. Pomyślcie o tych bogactwach, legalnie grabionych, o tych Inkach, legalnie mordowanych, o wszystkich tych brutalnych i okrutnych środkach, jakimi po wsze czasy hiszpańskie klasy panujące napełniały swoje kieszenie złotem, wyssanem z tych wszystkich, którzy mieli nieszczęście podlegać ich władzy. Cóż dali ludowi — nie podbitemu, lecz swemu własnemu — ci „przyrodzeni jego opiekunowie?“ Nic, po za uciskiem religijnym, politycznym, ekonomicznym i przykładem demoralizującym.

Dziś, gdy hiszpańskie klasy panujące są świadkami owoców swej wielowiekowej pracy, gdy jedna z ostatnich żył złotodajnych wymyka się z rąk ich, a lud w samym kraju podnosi hardo głowę, nie od rzeczy, zdaje się, będzie odwrócić jedną z kart potężnej Hiszpanii XVII w., aby rzucić okiem na jeden z pierwszych przejawów owego niezadowolenia w Neapolu, ówczesnej prowincyi hiszpańskiej.

Zdarzenie, z którego dostarczył nam materyału artykuł Karola Simonda w *Revue des revues* („La vie et la mort du Gracchus de Naples“ nr. 5 i 6), jest tem bardziej na czasie, iż w roku przeszłym przypadł właśnie 250 letni jego jubileusz.

Powstanie to, z powodu zupełnego, naturalnie, w owych czasach braku uświadomienia ludu, nosiło charakter czysto odruchowy, żywiołowy i jako takie udać się nie mogło. Ma ono wszakże znaczenie, jako jeden z pierwszych protestów przeciw ciemięztwu hiszpańskiemu. Zupełnie też słusznie uskarża się autor artykułu w organie francuskim na milczenie, jakiem wszystkie prawie znane mu pisma pominęły to zdarzenie tak ciekawe i tak na dobie będące.

Gdy Karol V oddał Sycylię i Neapol synowi swojemu, Filipowi II, ten ostatni mianował namiestnikiem tych prowincyj znanego ks. Albę, którego działalność w Holandyi zapisała się tak krwawemi głoskami na kartach historyi. Naturalnie, iż taki człowiek nie umiał zdobyć dla Hiszpanii i króla swego serc ludu neapolitańskiego. Olbrzymie podatki, ciągłe krwawe prześladowania religijne i polityczne raczej wzbudzały w nim nienawiść ku ciemięzcom i coraz bardziej rosnącą żądzę wyzwolenia się z pod obcej władzy. Stan taki nie zmienił się bynajmniej po wstąpieniu na tron Filipa III w r. 1598, jak również za Filipa IV, który objął władzę w r. 1621. Zmieniali się panujący, zmieniali się i namiestnicy, lecz nie podlegał zmianom sam system, czysto hiszpański.

W r. 1647, którym tak długo tłumiona nienawiść i oburzenie ludu wybuchnęły wreszcie pod postacią powstania, został właśnie mianowany nowy namiestnik Neapolu i Sycylii, ks. d'Arcos, człowiek, który postępowaniem swojem mógł jedynie rozdmuchać zarzewie niechęci, zatlone przez jego poprzedników. I zarzewie to buchnęło wreszcie potężnym płomieniem z powodu wypadku nad wyraz błahego, zwykłego przy rządach hiszpańskich; buchnęło, wysuwając na plan pierwszy bohatera, krótkotrwałego zwycięzcę i wreszcie męczennika, Tomasza Aniello, w skróceniu Masaniello, rybaka z Amalfi.

Dnia 7 lipca 1647 r. wschód słońca zastał, jak zwykle, rynek Neapolu przepełniony przekupniami miejskimi i włościanami okolicznymi, którzy przywieźli na sprzedaż płody swych pól i winnic. Po śród tłumu snuli się hiszpanie, przedstawiciele władzy i fisku, domagając się opłaty podatków za wystawione na sprze-

swój obowiązek, żeby objeżdżał i badał terytorya, jego opiece oddane?

Złodzieje pobytowi są niby oddani pod dozór policyjny, a jednak nikt ich kroków i czynów nie krępuje, nikt nie pyta, gdzie oni chodzą lub jeżdżą, czem się zajmują. Jednocześnie cały ten system skazywania na „pobyt“ jest wielce wadliwy; złoczyńców nie „leczy,“ nie poprawia, nie zniechęca do wykroczeń, przeciwnie — nieraz poprostu zmusza ich do czynów karygodnych, a ogół naraża na szkody. Tak np. pewnego przestępcę, który ma własne gospodarstwo w Okuniewie, po odsiedzeniu kozy skazano na pobyt w Nowomińsku, odległym o 12 wiorst od jego siedziby. Tak więc przestępca, może przypadkowy, nie zepsuty do gruntu, musi się stać przestępcą stałym — z konieczności, gdyż nie mogąc korzystać z miejsca *stałego pobytu*, tj. własnej siedziby w Okuniewie, będzie kradł, ażeby zapewnić sobie środki istnienia i stanie się złodziejem zawodowym. W większości wypadków złodzieje, skazywani na pobyt „w miejscu urodzenia,“ nic już nie mają wspólnego z tem miejscem. Nie znajdują tam ani krewnych, ani znajomych, są na zupełnej obczyźnie, dlatego tylko muszą mieszkać, że się tam urodzili, wywędrowali zaś jeszcze w dzieciństwie. Ludność całkiem słusznie wita ich nienawiścią i obawą, oni zaś, zupełnie odepchnięci, nie mają nic do stracenia: okradają i rabują tę ludność lub postrachem zmuszają do płacenia sobie haraczu.

Ponieważ straż ziemska jest bezsilna, więc nie może okiełznać, utrzymać w karbach ani pobytowców, ani przestępców miejscowych. Ludność zaś, niejednokrotnie musi sama sobie wymierzać sprawiedliwość. Tak np. złodzieje kradną chłopu konia i obiecują mu zwrócić go za 30 rubli wykupu. Chłop się zgadza zapłacić, ale gdy będzie miał pewność, że konia otrzyma. Umowa nie dochodzi do skutku, a złodzieje napadają jeszcze na zrabowanego, chcąc mu pieniądze odebrać. Chłop zagrożony zabija jednego ze złoczyńców i idzie do więzienia. Złodziej nędzarzowi kradnie jedyną krowę, cały jego dobytek, całe mienie, pozbawia go możności żywienia wątłych, schorzałych dzieci; słowem — rujnuje zupełnie biedaka.

Mieszkańce wsi, zwłaszcza w pobliżu wielkich zbiorowisk ludzkich i ognisk przemysłowo-handlowych, jest pod ciągłą grozą złodziei i rzadko oddycha spokojnie. Szczególnie jest dręczony podczas, że tak powiemy, epidemii złodziejskiej, która silnie panuje dwa razy do roku: latem, gdy stoi zboże na polu, oraz jesienią i zimą, gdy trwają długie noce; bo zarówno zboże, jak i noce długie wybornie ukrywają złoczyńców. Tym sposobem pozostaje do roku zaledwie kilka miesięcy wiosennych i przedjesiennych, kiedy dla złodziei nastają warunki niepomyślne, a ludność spokojniej oddychać może.

Wszystko to sprzyja stałemu rozwojowi kradzieży i zapewnia bezkarność rabusiom. Statystyka urzędowa podaje stale wypadki kradzieży i kto skrzętnie te fakty notuje, wytworzy sobie smutny obraz bezpieczeństwa na wsi. Ale, niestety, dodać winniśmy, że ta statystyka jest niedokładna i skutkiem tego mimowoli przedstawia w łagodniejszem świetle stan rzeczy. Kradzieże w rzeczywistości są znacznie częstsze i liczniejsze, tylko że poszkodowani często nie zawiadamiają wcale władzy i skutkiem tego o bardzo wielu wypadkach statystyka urzędowa nie wie.

Stworzone obecnie komisye niewątpliwie zaczną swoją działalność od zbadania stanu rzeczy, a więc przedewszystkiem zajrzą do owej statystyki. Otóż byłoby bardzo pożądane i niezmiernie pożyteczne dla kraju, żeby komisye, nie poprzestając na tych danych, jakich im dostarczą wójci i naczelnicy powiatów, zechciały powołać do pomocy światlejszych mieszkańców prowincyi, którzy swojemi wyjaśnieniami mogliby znacznie ułatwić pracę.

KRONIKA KRAKOWSKA.

Rozporządzenia władz miejscowych i wyższych. — Tow. wzaj. ubezpieczeń. — „Zatopiony Dzwon.“ — Secesya.

Ogłoszono w Krakowie, gdzie najzupełniejszy panuje spokój i na zaburzenia ani żadne inne antysemickie nie zanosiło się wcale — „stan wyjątkowy,“ tj. prawie tyle, co zawieszenie konstytucyi.

Szkoda, że dbałości tej nie mogły, czy nie umiały okazać władze, kiedy podolska szlachta dyktowała nowe statuty Towarzystwa wzajemnych ubezpieczeń i z najwyższem lekceważeniem interesów większości przeprowadziła je po swojej myśli, pomimo czynnego nawet oporu energiczniejszych jednostek.

Ale co to mówić już o tem! Już się stało i nie zmieni się tak prędko, bo bracia szlachta umieją trzymać się solidarnie, kiedy idzie o obronę ich interesów. Cofnijmy się raczej myślą o parę tygodni wstecz, aby pokrzepić duszę u życiodajnego źródła estetycznych wrażeń.

Mieliśmy tu teatr lwowski, który nie dorównywa naszemu pod względem doboru artystów, ale przywiózł nam kilka europejskich nowości, za co należy mu się wdzięczność nasza. Przedewszystkiem poznaliśmy na scenie przecudną baśń dramatyczną Hauptmana: „Zatopiony Dzwon“ w tłomaczeniu J. Kasprowicza. Jest to jeden z tych utworów, które potęgą artystycznego natchnienia porywają nawet umysły maluczkich i ciężko myślących, a dla dusz wybranych stanowią niewyczerpaną skarbnicę podniosłych wrażeń i duchowych rozkoszy.

Walka twórczego ducha ludzkiego z ograniczonością środków, jakimi rozporządza — żeby swą siłę w czyn i energię odradzającą przemienić — była ulubionym tematem wielkich mistrzów słowa. Nikt jednak nie opisał jej dotąd tak po prostu, tak mało zaprawiając ją patosem, jak Hauptmann. W prostą baśń ludową wplecione, stają naprzeciwko siebie do walki wiekowe tradycye, które pętają samodzielnego ducha i jego bezsilność do stworzenia jednem napięciem woli nowej

---

daż towary. Naraz zdarza się jeden z tych wypadków, które działają w tłumie, jak iskra elektryczna, gdy dotknie się miny: jakiś rybak stanowczo i hardo odmawia zapłacenia żądanej daniny. Odpowiedzią na to ze strony poborców hiszpańskich było brutalne wytrącenie z rąk opornego koszyka z towarem, potężne razy pięścią i płazem oręża, wreszcie wleczenie do więzienia. Lecz duch oporu jest już zbudzony w tłumie, nie odda on teraz tak łatwo na pastwę swego towarzysza. Ruchy stają się coraz gorętsze, okrzyki coraz groźniejsze, poborcy zaczynają się oglądać za pomocą. Nagle, z przeciwległego końca rynku, gdzie igrzyska ludowe zgromadziły kwiat młodzieży, rozbrzmiewa okrzyk potężny. To wieść o zajściu tam dobiegła i dowództwo nad tłumem obejmuje człowiek w kwiecie wieku, wzrostu niskiego, o cerze smagłej, oczach czarnych, z cienkim wąsem i wystającym nosem, człowiek, którego Neapolitańczycy witają przeciągłym okrzykiem:

— Evviva Tommaso Aniello!

Nowe posiłki decydują zwycięztwo. Poborcy ratują się ucieczką, a biedny rybak, któremu groziły tortury i kilkoletnie więzienie, jest ocalony.

Tomasza Aniello znają dobrze w Neapolu. Jakkolwiek młody jeszcze, jednak zaznał już biedy i nieszczęścia niemało w swojem życiu. Dobrobyt jego materyalny dobiło aresztowanie jego żony przez władze hiszpańskie, gdy chciała zanieść do miasta, nie otrzymawszy na to pozwolenia, worek mąki. Wykupy, podatki i kary zrujnowały go ostatecznie. Aby nie umrzeć z głodu, wziął się do sprzedawania ryb. Bogaci, zarówno jak i biedni w Neapolu byli jego klientami, a na rynku, gdzie stawał ze swym towarem, nie miałeś człowieka bardziej popularnego i cieszącego się większem poważaniem, niż Masaniello.

— Co radzisz nam czynić? — pytano go często. — Znów zwiększono podatek od owoców i jarzyn.

Masaniello miał na to jednę tylko odpowiedź:

— Co czynić?... Stawić opór!

Stało się nareszcie podług słów jego. Neapolitańczycy zbuntowali się, i miasto w przeciągu siedmiu dni było w mocy powstańców. Lecz przez cały ten czas kradzieże i łupiestwa były największą rzadkością. Będąc wszechwładnym panem miasta, tłum nie ruszył pałaców i mienia bogatych. Ci nieliczni, którzy dopuścili się przestępstw, nie mieli nic wspólnego z rewolucyą, korzystali z niej tylko.

Pierwszem żądaniem zbuntowanego ludu było zniesienie podatku od mąki; następnem — wypuszczenie na wolność tych wszystkich, którzy byli więzieni za wszelkie przestępstwa natury niekryminalnej. Ks. d'Arcos widzi się zmuszonym przystać na wszystko, lecz, nie będąc w stanie stłumić powstania siłą, ucieka się do zwykłego sposobu:

— Możesz sobie zapewnić królewskie wynagrodzenie — każe on powiedzieć trybunowi (*capo del popolo*) — jeśli porozumiesz się z władzą i uśmierzysz powstanie.

— Jeśli pieniądze twe są ceną za zdradę — odrzekł Masaniello, pogardzam niemi; jeśli są nagrodą — nie są mi one potrzebne.

Poczynając od trzeciego dnia powstania, wszelki opór hiszpanów jest złamany. Masaniello zniża podatki, wypuszcza więźniów, rozdaje oręż wszystkim Neapolitańczykom, skazuje na wygnanie urzędników hiszpańskich. Ale jednocześnie rozkazuje wystawić na wszystkich ulicach portret Filipa IV i ogłasza, że walczy on nie przeciw królowi, lecz przeciw nadużyciom.

Ks. d'Arcos probuje wtedy nowego środka: posyła zbirów z rozkazem zamordowania trybuna. Lecz zamach nie udaje się i kończy się jedynie śmiercią zbirów, rozerwanych przez tłum rozwścieczony.

Nie mogąc wprost złamać trybuna, przyjmuje ks. d'Arcos na swoje usługi zdradę, tego potężnego sprzymierzeńca

potęgi, któraby tamte wiekami uświęcone moce zastąpić była w stanie. Próżno widzi on i słyszy nowe pieśni i nowe tony, czystsze, prostsze i szczersze, niż te, które wiodły dotąd ludzkość do świątyni dobra i prawdy. Napróżno w chwili zgonu widzi wschodzące słońce nowej wiary, prócz niego nikt tych blasków nie dostrzega i nikt tych tonów nie słyszy. Ludzkość idzie swoją drogą, rzucona w pewnym kierunku z tak nieubłaganą siłą, jak ta, która światy zawieszone w przestrzeni porusza i systemom słonecznym w oznaczoną stronę biedz każe.

A jednak zarówno upadki stworzonych w wyobraźni wieszczów-bohaterów, jak i męka rzeczywistych bojowników o nowe dla ludzkości zdobycze ducha nie odstraszają nowych wciąż zastępów zapaśników, biegnących w bój z nieubłaganem fatum, wiodącem ludzkość tą samą drogą, którą idzie wszystko martwe i bezbronne na świecie. Myśl ludzka natęża się, żeby stworzyć coś nowego, coś wstrząsającego skorupę ziemi i dobywającego z niej ogień nowego życia, nowej epoki.

Myśli te nasunęły mi się, kiedy na wystawie „secesyi" krakowskiej stanął przed memi oczyma po raz trzeci, czy czwarty duch Jacka Malczewskiego, pogrążony w zadumie nad stworzeniem tej iskry, któraby jak mina rozsadziła martwą bryłę dotychczasowych form. Przed nim ta kobieta, którą widzieliśmy już w słomianej koronie i potarganej purpurze, teraz biorąca w tygrysie szpony serce artysty, to ta konieczność, ta nieubłagana moc, która nęka wybrane dusze, aby z nich stworzyć pochodnie ludzkości i morskie strażnice wśród burzliwej nocy życia. W obrazie tym streszcza się cała tajemnica tych fantastyczności, tych potworności nieraz, które nasi najmłodsi ku wielkiemu zgorszeniu filistrów rzucają na płótno, na papier lub na ścianę. Oni szukają dróg nowych, oni chcą nowe budować kościoły, z których dzwony daleko i szeroko roznosiłyby radosną wieść słonecznej epoki dla ziemi. Że tej drogi nie znajdują, czyż ich za to potępiać należy? Wszak szukały jej przed niemi najpotężniejsze duchy i nie znalazły także.

Na wystawie „secesyi" było dużo rzeczy nowych i pięknych naprawdę. Wspaniałe portrety Wyczółkowskiego, malowane kreskami we wszystkich kolorach tęczy, skupiały przy sobie tłumy widzów. Zupełnie do nich niepodobne, a równe chyba pod względem znakomitego odtwarzania charakteru twarzy pastelowe sylwetki Wyspiańskiego mniej liczną, ale więcej doborową cieszyły się galeryą. Znakomite portrety Augustynowicza, Aksentowicza i Mehofera, sceny ludowe Tetmayera i Chełmońskiego, oraz cały szereg innych obrazów i kilka rzeźb składały się na całość bardzo zajmującą i wróżąco wiele na przyszłość dla naszej sztuki malarskiej.

Caeca.

Z NIEMIEC.

Berlin, 5 lipca.

W życiu jednostek i społeczeństw są chwile, kiedy zwykły tryb rzeczy zmienia swą postać i ukazuje nam rzeczywistość z odwrotnej strony medalu, prawie nam nieznanej. Do takich wyjątkowych momentów należą wybory, gdyż wyprowadzają na scenę „lud," ową mistyczną postać i księgę o siedmiu pieczęciach, która stanowi oś procesu historycznego. Dziennikarze wszelkiej barwy zarówno piorunonośnej opozycyi, jak potakującej prawicy przemawiają w imieniu ludu; tworząc lub gmatwając politykę, występują w todze jego adwokatów lub posłanników. Kto na podstawie gazet zechciałby sądzić o usposobieniu masy, mógłby pomyśleć, iż ma do czynienia ze „zwierzęciem politycznem," które nie ma żadnych interesów, krom polityki. Jakże ten chorujący na politykomanię lud zachowuje się wobec wyborów? Czy drażniony i kłuty ustawą antistowarzyszeniową, oraz innemi zakusami reakcyjnemi, nadto łżony i zwymyślany przy każdej okazyi, rzucił się jak jeden mąż do urny, aby wyrazić swój protest? Rezultaty wyborów znane już czytelnikom *Prawdy*, zadały kłam temu przypuszczeniu i mogą rozczarować niejednego, co wierzył święcie w ambicyę ludu i jego społeczną świadomość. Jeszcze wyraźniej świadczy przeciwko temu udział w tegorocznych wyborach. Jest mnóstwo okręgów, gdzie zaledwie 60% uprawnionych do głosowania korzystało ze swego „świętego prawa obywatelskiego." Zwłaszcza miasta popisały się tym razem haniebnie. W jednym z najgłębszych okręgów berlińskich trzecia część osób zapisanych do listy powstrzymała się od głosowania. Należy nie zapominać, iż komitety wyborcze ułatwiają wszelkiemi sposobami samą procedurę. Przez cały tydzień, poprzedzający wybory, znajduje się zrana w swej skrzynce do listów odezwy wraz z kartkami noszącemi nazwiska odnośnych kandydatów. „Wolnemu obywatelowi" konstytucyjnego państwa pozostaje tylko fatyga udania się do lokalu w bliskości i wrzucenia kartki otrzymanej do urny. Gdyby nawet zapomniał o swej powinności, przypominają mu ją nieustannie napisy na czapkach roznosicieli odezw wyborczych, tablicach, słupach, ścianach, a nawet trotuarze. Głosowanie jest tajne. Wyborcy przysługuje nawet prawo przekreślenia na kartce drukowanego nazwiska kandydata i napisania innego. Gdy zaś pomimo to nie zadał sobie trudu stawienia się, przybywa „Schlepper" i powołując się na późną porę, ciągnie kunktatora do lokalu. Kobiety i mężczyźni na bicyklach, dorożkami i piechotą podejmują się niewdzięcznej roli „Schlepperów," obowiązanych za pomocą moralnego nacisku skłaniać lud do głosowania. Z knajp, klubów i ogrodów śpieszy to „bydło głosujące" z kartami lub laską krokietową w ręku, często bez czapek lub w pantoflach, aby pokierować nawą państwową. Pod tym względem klasy ubogie grzeszą nie mniej od warstw zamożnych. Pomimo iż fabrykanci zamykają o godz. 4-ej swe zakłady, aby dać możność głosowania swym pracownikom, ci w oczekiwaniu wyborów ściślejszych, jako też ze względu na to, iż jeden głos nigdy nie decyduje, wolą użyć czasu swego na coś lepszego, jak np. przeczytanie gazety, gdzie autor wstępnego artykułu grozi ministrom dniem wyborów, dniem sądu ostatecznego, kiedy lud-Samson upomni się o swe prawa itd. A jakim cynicznym brakiem entuzyazmu rażą niekiedy same kartki, na których figurują nazwiska Bismarcka, Moltkego, własnej żony, wierszyki, cytaty z Biblii, dowcipy itp.

Nie powinno nas to zresztą dziwić, jeśli przyjrzymy się, jak światły lud nie-

---

podłych i małych. Przedstawicielem jej jest niejaki Gialio Genovino, który swem pozornem oddaniem się sprawie ludu umiał zdobyć zaufanie Masaniella. On to nakłania tego ostatniego, ażeby udał się do pałacu namiestnika i podyktował mu w ostatecznej redakcyi żądania ludu. Masaniello waha się przez czas pewien, w końcu jednak ulega z warunkiem, iż lud będzie zawiadomiony o tym jego kroku. W tym celu zgromadza on mieszkańców Neapolu, którym obwieszcza, że chce doprowadzić do końca dzieło powstania i udaje się do namiestnika, aby wymódz na nim ostateczne uznanie żądań ludu, poczem postanowił usunąć się od władzy i zostać tem, czem był, prostym rybakiem w Amalfi. Rozentuzyazmowany lud odprowadza swego wodza do wrót pałacu vice-króla, który okazuje mu względy najwyższe. Łatwowierny Masaniello, dając wiarę jego pochlebczym słowom i hojnym obietnicom, z balkonu pałacu zwraca się do ludu z zapewnieniem, iż sprawa ulg i wolności może być uważaną za wygraną, i prosi go o rozejście się, gdyż jemu osobiście żadne niebezpieczeństwo nie grozi.

Tłum się rozprasza, Masamiello zaś wracając na swe miejsce honorowe przy stole, wychyla puhar za zdrowie króla. Nagle twarz jego się wykrzywia, oczy zapalają się nienaturalnym ogniem, ruchy stają się gwałtowne i nieporządne: to działa trucizna, wlana do jego kielicha. Zachowując jednak tyle jeszcze przytomności umysłu i panowania nad sobą, aby zrozumieć swe położenie człowieka, podlegającego jedynie woli swych zmysłów, kierowanych przez waryactwo, Masaniello ucieka do klasztoru karmelitów i chroni się tam do jednej z cel jego. Korzystając z tego, vice-król rozpuszcza pogłoskę, iż zdradził on sprawę ludu i kryje się przed jego zemstą.

W klasztorze po pewnym czasie Masaniello odzyskuje zmysły. Wtedy, sądząc, że ma w kardynale Filomarino sprzymierzeńca i przyjaciela, zwierza mu się ze swoich planów, obiecuje ostatecznie lud uspokoić, spełniając jego żądania. Lecz nagle, pośród tej odpowiedzi, drzwi celi jego się otwierają i czterech zbirów, wysłanych przez ks. d'Arcos, wpada przez nie z okrzykiem:

— Niech żyje król hiszpański! Śmierć Masaniellowi!

— Szukacie mnie? Oto jestem...—spokojnie odpowiada trybun i pada, krwią zbroczony.

Było to dnia 16 lipca 1647 r.

Pospólstwo, którego nie należy mieszać z ludem, ciągnęło trup jego przez miasto w kurzu ulicznym, poprzednio obciąwszy mu głowę.

Lecz wkrótce reakcya podnosi głowę. Olbrzymie podatki są znów nałożone, piekarze podwyższają cenę chleba... Wtedy lud znów przypomina sobie swego bohatera, opłakuje śmierć jego, urządza mu pogrzeb, jakiego nie miał żaden król w Neapolu. Tłum osiemdziesięciotysięczny towarzyszy jego trumnie, rozszerza się legenda, iż głowa jego, przyłożona do ciała, otworzyła oczy, wymówiła parę niezrozumiałych wyrazów, ręka zaś wyciągnęła się, jak gdyby błogosławiąc lud.

Lecz, będąc już w grobie, Masaniello jeszcze wydawał się niebezpiecznym Hiszpanom. Nie zaniedbali oni niczego, aby zniszczyć urok jego imienia. Dokumenty, mające jakąkolwiek styczność z trybunem ludu, szczególnie z epoką jego dziewięciodniowych rządów, o ile wpadały w ręce władz hiszpańskich, były systematycznie niszczone.

Historycy, będący na żołdzie rządu, dopięli tego, iż przez czas długi imię Masaniella było synonimem człowieka ambitnego, chciwego władzy, niemal waryata, dotkniętego manią krwiożerczości. Dopiero w ostatnich czasach bezstronni historycy, jak Cantu, a szczególnie M. B. Capasso (ten ostatni w pracy swojej, umieszczonej w „Archivio storico per le province napoletane" anno XXII, fascicolo I) zrehabilitowali pamięć bohatera.

G.

miecki przygotowywa się do sakramentu politycznego. Po rozpisaniu wyborów przez rozporządzenie cesarskie, zwołuje się tysiące zebrań, aby wyłożyć słuchaczom abecadło polityczne, powtarzane dwa razy dziennie w piśmie partyjnem. Ażeby zaskarbić sobie poparcie wyborców, stawia się kandydatów popularnych i głośnych, wynosi się pod niebiosa ich działalność, cnoty, talenty i życie codzienne, natomiast czerni się błotem przeciwnego kandydata. Trudno sobie wyobrazić, do jakich potwornych kłamstw posuwają się prowodyrowie stronnictwa, aby zamatować przeciwnika, i jak łatwo da się wyprowadzić w pole tłum wyborczy. Ów wyszkolony naród okazuje się łatwowiernym dzieciakiem, co się bierze na lep pierwszej lepszej bezmyślnej bajki. W dzień wyborów, kiedy spotwarzony niema możności usprawiedliwienia się, puszcza się w kurs najohydniejszy paszkwil, pełen jadowitych frazesów i brudnych wymysłów. W ten sposób oddziaływa się na publiczność. Wyborcy bowiem kierują się więcej uczuciem swojem, przywiązaniem do pewnej osoby, pietyzmem dla niej, niż względami polityki. W Solindrze połowa demokratów głosowała za narodowym liberałem, aby jedynie nie wynieść na swych plecach drugiego kandydata tego samego stronnictwa, który szedł z jej ulubieńcem w zawody. Zwykle nowi kandydaci przechodzą z trudnością, gdyż niemogą pochwalić się czynami, dokonanymi na polu politycznem. Jedyny sposób olśnienia mas w tym wypadku jest krasomówczość. Kto porwie masy darem słowa, zaskarbia sobie względy. Tem tłomaczy się napływ w tym roku adwokatów do sejmu rzeszy. Zwłaszcza musi mówca odnieść zwycięstwo podczas dyskusyi, toczącej się na zebraniu. Sporom tym poświęcają słuchacze całą swą uwagę. Turniej ten bawi publiczność i osładza gorzką pigułkę, połkniętą poprzednio w postaci poważnie wygłoszonej mowy. Tłum zebrany cieszy się ze swej roli sędziego, gdyż karci pobitego na głowę i wieńczy zwycięzcę. Wprawdzie sąd ten nie zawsze świadczy o dojrzałości umysłowej zebranych. Dowódca społecznych demokratów, autor pracy o kobiecie, oświadczył przed dwoma laty, iż stracił zupełnie swe zaufanie do zebrań, odkąd publiczność pewnego wieczora wynagrodziła rzęsistymi oklaskami zarówno jego, jak jego przeciwnika, Brunona Willego, tak iż robiło to wrażenie, jakoby obaj mieli racyę, pomimo iż zajęli w swych mowach biegunowo przeciwne stanowiska. Zebrania te przypominają sceny opisane po mistrzowsku przez Knuta Hamsuna w jego „Redaktorze Lynge.“ Dodam jeszcze, iż w tym roku kandydaci jęli się nowego środka, kaptowania mas. Pastor Naumann, znany ze swej urody, dołączył do odezw wyborczych swą podobiznę. Szkoda, iż w wyborach nie przyjęły udziału pensyonarki. Piękny pastor przeszedłby przygniatającą większością głosów.

Obojętność, nieświadomość i opieszałość nie są atoli na szczęście powszechnem zjawiskiem. Poeta ludowy Audorf kazał się w tym roku zanieść na śmiertelnem łożu do lokalu wyborczego. Po oddaniu głosu wyzionął ducha. Inny robotnik na prowincyi, postanowiwszy z rozpaczy powiesić się, dopiero po wrzuceniu kartki odebrał sobie życie. Kilku chorych robotników przysłało w Berlinie swe żony, aby za nich załatwiły procedurę wyborczą. Takich wypadków można byłoby przytoczyć więcej. Najdobitniej atoli może przemawiać dusza narodu ze strony jasnej w scenach następujących po wyborach, kiedy podaje się do wiadomości ich rezultat. Trzeba zobaczyć te tysiące, które ściskają się i płaczą z radości, krzyczą owacyjnie i rozlatują się na wszystkie strony, bądź pieszo, bądź na bicyklach, aby roznieść szczęśliwą nowinę. Trzeba zobaczyć te tysiączne tłumy, które po świątecznemu ubrane oczekują w specyalnie zwołanych na ten cel zebraniach telegraficznych wiadomości o ostatecznym rezultacie. Trzeba przyjrzeć się ich radości w razie pocieszającej depeszy i gwałtownemu oburzeniu lub smutkowi w przeciwnym wypadku. Trzeba zresztą zobaczyć rozdawców kartek wyborczych, którzy nie otrzymując za to ani grosza wynagrodzenia z własnej woli przez cały dzień stoją na skwarze słonecznym, aby każdemu przybyszowi wcisnąć do rąk kartkę — a wtedy wątpliwość co do dojrzałości politycznej narodu częściowo pierzcha.

Zwłaszcza po raz pierwszy w tym roku szalała gorączka wyborcza na wsi. Podczas kiedy w miastach zapał w porównaniu z r. 1893 zmalał, fale polityczne na wsi znacznie wzmogły się. We wschodnich Prusiech, w tem Eldorado wszechwładztwa junkierskiego, ciemny lud, parobcy i najmici wiejscy po raz pierwszy przestali tańczyć pod takt fujarki feodałów. Okrzyk przerażenia rozniósł się po prasie, gdy dowiedziano się, iż ciemny i uciskany Maciek stracił wreszcie swą cierpliwość i ostentacyjnie głosował za skrajną lewicą. W trzech okręgach postawili właściciele ziem rycerskich swą socyalistyczną kandydaturę. Prawdziwy koniec świata! Po wsiach, gdzie nie pamiętają ani jednego głosu opozycyjnego, oddawano setkami głosy za najradykalniejszem stronnictwem i to pomimo kwarantanny, w porównaniu z którą system Badeniego jest niewinną igraszką. Na progu wsi stawiał pan wartę, która każdego roznosiciela odezw wyborczych w sposób łagodny, a gdy to nie skutkowało, argumentami bardziej przekonywającymi skłaniała do otrząśnięcia prochu wiejskiego z butów. Bito i kaleczono bez pardonu; aresztowano bez powodów. Pan obchodził codzień wszystkie chaty i żądał wszelkich ulotnych listków wyborczych, które przedostały się drogą przemytnictwa. W dzień wyborów poczęstowawszy podwładnych cygarami i piwem, rozdawał wszystkim po kartce wyborczej i wraz z nimi udawał się do lokalu, gdzie parobcy głosowali pod argusowem okiem całego sztabu ekonomów. Na nieszczęście okazało się, iż w niezliczonych wypadkach niewdzięczni pracobiorcy wyjmowali z kamizelki rezerwowo kartki opozycyjne. Dowiedziawszy się trochę za późno o tem bezeceństwie, kilku feodałów przysięgło, iż przy następnych wyborach poprowadzi swe „bydło głosujące“ do urny w stroju Adamowym. Przypuszczam, iż system ten nieco nowy pod słońcem nie poskutkuje, gdyż opozycya do tego czasu wzrośnie. Dziś musiała uledz dzięki związkowi wolnomyślnych i konserwatystów, dwu nieprzejednanych wrogów. Gdyby w tym roku naród nie zdradził tyle apatyi i niedołęztwa, to z pewnością mezalians ten, pobłogosławiony przez Miquela na czas wyborów, po których musi nastąpić separacya od stołu i łóżka, nie byłby w stanie wybawić rządu z kłopotu.

H. F.

JULIAN HEPPEN

(WSPOMNIENIE POZGONNE).

Był to w swoim rodzaju człowiek niepospolity. Umiał on opowiedzieć historyę każdego łokcia ziemi, każdego domu, każdego zakładu w Warszawie co najmniej od pół wieku. Nie przechowywał zaś tego ogromu szczegółów wyłącznie na papierze, lecz głównie w pamięci. Można go było zagadnąć o coś na ulicy — w tej chwili recytował dzieje, jak stara kronika. A trzeba było słyszeć te drobiazgi:

— Na tym oto placu — mawiał — gdzie budują kamienicę, był niegdyś domek, należący do bednarza Wiskiego, który zrobił tak wielką kufę, że ks. Józef Poniatowski zjadł w niej śniadanie z sześcioma kobietami. Potem wymurowano dom jednopiętrowy, mieszkała w nim sławna z urody Pasecka, którą na balu w Ratuszu chciał pocałować awanturnik hiszpański Riaz, za co mu jej mąż, zaprosiwszy na kolacyę i upoiwszy, ogolił głowę i wąsy do połowy. Pasieccy wkrótce potem wyjechali z Warszawy, a po nich wziął mieszkanie niejaki Ryk, urzędnik z komisyi sprawiedliwości, który zbierał ptasie jajka — itd.

W tym rodzaju snuł swoje opowieści. Jeżeli zaś mógł mieć przerwy w wiedzy o domach prywatnych, to z pewnością nie miał żadnych w znajomości rodowodu zakładów publicznych, zwłaszcza poświęconych rozrywkom. Pamiętał doskonale, kto, gdzie i kiedy dawał przedstawienia, kto utrzymywał restauracyę, po czemu sprzedawano piwo itd. Rzeczywiście była to żywa encyklopedya Warszawy, z której czerpała ciągle swe wiadomości nadewszystko prasa brukowa.

Drobnymi wierszykami i artykulikami zasilał Heppen w początkach swego zawodu *Zorzę*, *Magazyn mód*, *Czytelnię niedzielną*, *Gazetę codzienną*, *Przegląd europejski*, *Tygodnik ilustrowany* i inne pisma, główną wszakże jego siłą była erudycya dotycząca życia Warszawy. Pod tym względem jest on dziś niezastąpiony, ze śmiercią jego wyschło najobfitsze źródło informacyj pewnego rodzaju.

Zbliżeni do niego zapewniają, że był człowiekiem dobrym, uczynnym i czystym. Ponieważ zaś nietylko on znał Warszawę, ale Warszawa jego znała, więc swym zgonem zbudził żal w szerokich kołach naszego miasta.

FEJLETON.

PAMIĘTNIK.

Zatargi taryfowe.

Między Rosyą a Niemcami toczył się w ostatnich tygodniach zatarg celny, który omal nie naruszył harmonii stosunków, opartej na traktacie handlowym z r. 1894. Mianowicie Niemcy, przewlekając sprawę rozmaitymi wybiegami, nie chciały się zgodzić na ustanowienie taryf bezpośrednich dla transportów od stacyj rosyjskich do swoich. Skutkiem tego na granicy musieli być utrzymywani osobni ekspedytorowie, trzeba było towary przeładowywać, wyrabiać dla nich osobne dokumenty. Wszystko to sprowadzało koszty, zwłokę i inne kłopoty, podczas gdy Niemcy korzystali z bezpośrednich taryf frachtowych. Szczególnie na tem utrudnieniu cierpiał wywóz zboża, a łatwo się domyśleć, że „agraryusze“ niemieccy, którzy obecnie wywierają największy wpływ na rząd niemiecki, mieli ważny interes w pobudzaniu go do oporu słusznym żądaniom. Nareszcie miarka się przebrała. Z Petersburga oświadczono, że jeżeli żądania te nie będą uwzględnione, dodadzą im siły odwetowe środki przeciwko przywozowi niemieckiemu. Groźba poskutkowała i podobno — jak donoszą gazety — sprawa jest załatwiona. Czy jednak Niemcy nie wynaj-

dą znowu jakiejś przeszkody dla wywozu z Rosyi—za to ręczyć nie można. Wszakże głównym celem ich jawnych i skrytych usiłowań jest to, ażeby brama wschodnia była dla ich handlu naoścież otwarta, natomiast z ich strony — przymknięta, zwłaszcza dla zboża.

Mocne domy.

Śledztwo, przeprowadzone w sprawie zawalonych domów, zakończyło się szeregiem procesów, wytoczonych budowniczym, majstrom mularskim i ciesielskim oraz przedsiębiorcom. Niektórzy z nich nawet osadzeni zostali w więzieniu, gdzie czekają wyroku. Teraz możemy być pewni, że kamienice, zbudowane w roku bieżącym, będą mocne i doczekają późnych lat. Dawno już należała się oszustwu i niegodziwości ta kara. Zbyt długo kuły one swój niecny interes w tajemnicach szacherki, której ofiarą padło wielu nieszczęśliwych robotników, a która dłużej tolerowana sprowadziłaby niewątpliwie straszne katastrofy. Jak daleko sięgają dzieje tej niecnoty, przekonywa fakt, że gdy świeżo zburzono dom stary, sąsiadujący z postawionym przed kilkunastu laty, ten ostatni zarysował się i musiał być opróżniony z lokatorów, bo prawie nie posiadał fundamentów. A ile to takich kamienic stoi niezbadanych, których sekrety odsłoni dopiero jakiś przypadek!

Gdzie prawda?

W roku zeszłym wszystkie pisma warszawskie przytaczały wyrok senatu, wyjaśniający, że Żydom wolno jest zamieszkiwać czasowo w domach włościańskich, nie wolno im tylko użytkować z ziemi i środków gospodarczych. Później czytaliśmy znowu liczne doniesienia, że tu i owdzie zabroniono im wynajmować u chłopów mieszkań letnich. Obecnie znowu krąży po gazetach wiadomość, że w Świdrze, Jarosławiu, Józefowie władza gminna wezwała wszystkich Żydów, ażeby opuścili natychmiast wille i domki, wynajęte u włościan. Ponieważ ci ostatni pobrali zapłatę, której zwrócić nie mogą lub nie chcą, więc podjęli starania przeciw temu rozporządzeniu. Wytworzył się zamęt, straty, zawody, przykrości dla dotkniętych bardzo dokuczliwe, a dla wszystkich niepożądane. Wobec tego zamętu i szkód, powtarzających się stale, należałoby raz wyjaśnić, jakie są rzeczywiście przepisy obowiązujące pod tym względem; jakie ma znaczenie wspomniany wyrok senatu i czego winni się trzymać, zarówno gospodarze, jak lokatorowie. Jakkolwiek ograniczenie swobody wynajmu mieszkań u włościan — jeśli ono dla Żydów istnieje — może być dla nich nieprzyjemnem i kłopotliwem, znajdą oni sobie bardzo łatwo niezakazane domy na letni pobyt, których dziś nie brak w okolicach Warszawy i z pewnością chętniej poniosą mały trud wynalezienia takich pomieszczeń bez *tabu*, niż nieoczekiwane rugi. Mamy nadzieję, że *Gazeta sądowa*, która tyle zagadnień prawnych rozwiązała z wielką dla ogółu korzyścią, zajmie się również wyświetleniem tej, bardzo ważnej.

Sztuczny ruch

Pisma, nawet niespecyalne, drukują normalną ustawę Towarzystw rolniczych; zaczął wychodzić nowy tygodnik, „Okólnik rolniczo handlowy,“ „Gazeta rolnicza“ przywdziała ozdobniejszą sukienkę i ogłosiła konkurs na temat „o uprawie roli“ — słowem, zdawałoby się, że w tej najważniejszej dziedzinie życia ekonomicznego zaczął uderzać nowy puls. A jednakże jest to pobudzenie sztuczne, pozorne, nieobjawiające wcale rozwoju. Ktokolwiek u nas odwiedza z celem obserwacyi gospodarstwa ziemskie, ten dostrzega wyraźnie, jak dalece one pozostają ciągle po za granicami wpływu prądów, przenikających inne dziedziny przemysłu. Tu i owdzie spotkać można lepsze metody pracy i doskonalsze środki techniczne; coraz częściej znajdujemy umiejętną i staranną uprawę ziemi, piękne inwentarze, wyborne narzędzia, korzystne kultury i hodowle, ale nigdzie śladów łączności interesów, przedsięwzięć i celów. To nie armia walcząca w zwartych pułkach, to rozproszona gromada luzaków, zdobywających podstawę bytu własnemi jedynie siłami. Ten sprzedał zboże handlarzowi małomiasteczkowemu, ten odstawił je do młyna lub wywiózł za granicę; ten miał omłócone podczas wyższych cen, ten musiał zbywać podczas zniżki; ten się oszukał o 50 kop., tamten o rubla na korcu — itd. Wszyscy ci ludzie pracują, sprzedają, tracą, zarabiają bez żadnego porozumienia się, bez żadnego oddziaływania na rynek, który im dyktuje prawa i nie spodziewa się z ich strony najmniejszego oporu. Patrząc na ten stosunek, sądzićby można, że on jest formą jakiejś niewoli ekonomicznej, w której poddaństwo przypadło wytwórcy towaru, a zwierzchnictwo pośrednikowi między nim a spożywcą. Nasze rolnictwo posuwa się jako technika, ale nie rozwija się jako zorganizowana, potężna gałąź handlu. „Okólnik rolniczo-handlowy“ obiecuje temu niedostatkowi zaradzić. Zobaczymy.

Nowy rodzaj spekulacyi.

Ciągły spadek stopy procentowej, ograniczenia w sferze gry giełdowej, niepokój kapitału niemogącego znaleźć sobie korzystnego oprocentowania — te i inne przyczyny zwróciły spekulacyę naprzód ku placom i domom, a obecnie ku ziemi. Przewidujemy, że niedługo rozpocznie się gorączkowy handel folwarkami, tymczasem zaś zabrał on się do sprzedaży rozkawałkowanych obszarów podmiejskich. Wiadomo, do jakich bajecznych cen doszła już cena ziemi w promieniu kilkomilowym około Warszawy z lewej strony Wisły, gdzie kolej W. Wiedeńska tworzy wielką siłę przyciągania. Obecnie zaś, gdy w tej okolicy gruntów zbrakło, spekulacya przerzuciła się na lewy brzeg Wisły i tam snuje wątek prawdziwej bajki ekonomicznej. Przestrzenie, które jeszcze przed dziesięciu laty zbywano z trudem po kilkaset rubli za włókę, dziś są sprzedawane drogo na łokcie. Wystąpiła na widownię cała rzesza „dobroczyńców,“ która połamawszy obszary nieużytków na działki dla budowy domów i zakładania ogrodów, „ułatwiają“ warszawiakom kupno tanich siedzib z rozpłatą na raty, z zaręczeniem, że wkrótce powstaną tam duże zbiorowiska ludzkie, przeprowadzone zostaną tramwaje itd. Nic mielibyśmy nic przeciwko temu nęceniu do emigracyi po za Warszawę i do obsiadania ziemi po za murami ścieśnionego miasta, gdyby tym ruchem nie tuczyła się głównie spekulacya. Przedewszystkiem pamiętać trzeba, że grunta, na które ona wabi nieświadomych, składają się przeważnie z sapów, bagien i lotnych piasków, z których tylko wiekowa, holenderska praca mogłaby uczynić glebę urodzajną. Jeżeli więc ktoś wierzy ogłoszeniom i sądzi, że za lat kilka doczeka się pięknego ogrodu, to jest w grubym błędzie. Z wielu względów byłoby pożądanem, ażeby warszawiacy, o ile tylko mogą, wynosili się z miasta i zakładali sobie siedziby w jego bliskich okolicach, tworząc nowe osady, do których niewątpliwie sięgną środki komunikacyjne i połączą ich z głównem ogniskiem życia. Ale niech to wysiedlanie się ma za przewodnika rozum, nie zaś bałamuctwo i wyzysk spekulacyi. Są np. szerokie kręgi tak nizko położone, że należałoby je zalać wodą i zamienić na stawy; czyż to są miejsca odpowiednie dla kolonizacyi?

Lekcya geszeftu.

Wtedy, kiedy my łamiemy sobie głowy nad rozmaitemi zagadnieniami społecznemi, wolny od tych trosk geszeft siedzi cicho w swojej kryjówce i duma nad jedynem zagadnieniem, jakie uznaje w wszechświecie — nad własnym zyskiem. Obojętne mu są wszelkie inne sprawy: naukowe, patryotyczne, ekonomiczne, językowe, polityczne, literackie; on tylko bada, w którą stronę może wyciągnąć swe ramiona polipa dla schwytania zdobyczy. Ot np. niejednego z nas dręczyła myśl: jakim by sposobem ciemne żydostwo wyrwać z odosobnienia, zburzyć te mury, którymi ono odgradza się od społeczeństwa? Tymczasem petersburskie Towarzystwo ubezpieczeń w Warszawie, na czele którego stoi podobno nasz rodak, wcale nie truje sobie życia tą żydowską odrębnością, lecz wysysa z niej słodki sok. Chcąc z ludzi korzystać, trzeba im dogadzać. Więc też Petersb. Towarzystwo ubezpieczeń, chcąc nałowić sobie ryb w sadzawce żydowskiej, przygotowało deklaracye w języku hebrajskim i powierzyło je protekcyi rabinów, będących jego agentami. Dostarczono nam jeden egzemplarz takiego blankietu, którego naturalnie odczytać nie umiemy, który jednakże mówi do nas zrozumiale: „O, wy naiwni! Po co wy gryziecie twarde orzechy kwestyj językowych, na których łamiecie sobie zęby! Czy to nie prościej i nie korzystniej głaskać każdego po jego nałogach? Jeżeli Żydzi chcą używać języka hebrajskiego, piszmy w nim nawet poematy, aby je tylko kupowali!“

Autorstwo aktorów.

Rozkaz prezesa teatrów warszawskich odsłonił nam tajemnicę, której nie przeczuwaliśmy. Brzmi on: „Doszło do wiadomości mojej, że niektórzy pp. artyści i artystki piszą korespondencye i recenzye do gazet o sztukach dawanych na scenach warszawskich, z krytyczną oceną gry swoich towarzyszów. Będąc zdania, że wszyscy artyści stanowią jedną towarzyską rodzinę, sądzę, że recenzye ich mogą być tylko pochwalne, a przeto stronne i szkodliwe. Krytyczne recenzye o grze kolegów, pisane przez jednego z członków rodziny artystycznej, zakłócają stosunki koleżeńskie. Z powyższego jasno wynika, że recenzye i krytykę należy pozostawić osobom, które interesują się sprawami teatralnemi i nie mają nic wspólnego ze sceną. Zawiadamiając o powyższem wszystkich, których to dotyczyć może, uprzedzam, że za przekroczenie niniejszego rozporządzenia będą karał surowo. Upoważniam przytem pp. reżyserów do udzielania redakcyom wszelkich wiadomości, dotyczących teatrów warszawskich, a mogących poinformować publiczność.“

Słyszeliśmy, że jeden z reżyserów zamieszcza w gazetach przychylne o sobie wzmianki; ale nie przypuszczaliśmy, że artyści, a zwłaszcza artystki piszą recenzye teatralne. Musiało to być uprawiane w szerszej mierze, skoro wywołało ów zakaz.

U nas tak zawsze.

Kiedy przed 3 laty zapowiedziano w Petersburgu wszechpaństwowy zjazd młynarzy, na którym miano rozważać sprawy bardzo doniosłe pod względem ekonomicznym dla Królestwa Polskiego, nasi rolnicy, młynarze i handlarze mąki zwołali w ostatniej chwili narady, stworzyli osobną delegacyę i wysłali przedstawicieli, którzy uporczywem milczeniem zaznaczyli swą obecność na tym zjeździe. Jeden tylko skrycie pracował.. dla siebie, wbrew interesom ogółu. Ostatecznie prawie nic nie zrobiono i nie wyjednano. Zdawałoby się, że tak dotkliwa nauka nie powinna pójść w niepamięć. Tymczasem

wystarczyło trzech lat na to, ażoby zupełnie zapomnieć o zawodzie doznanym i w chwili zwołania ogólnego zjazdu młynarzy w Moskwie (28 czerwca r. b.) wykazać niezdarność i niedbalstwo względem własnych interesów, jeszcze w wyższym stopniu, niż dawniej. Po zjeździe poprzednim stworzono stałą radę młynarską z siedliskiem w Petersburgu i wydano ustawę, na której mocy młynarze zbierają się co trzy lata. Należało się spodziewać, że wobec tego nasza delegacya młynarska przybierze charakter organizacyi stałej, pośredniczącej między danym sterem spraw ekonomicznych a grupą wytwórców, w znacznej mierze wpływających na stan materyalny kraju. Niestety, o istnieniu tej delegacyi jak gdyby w ostatniej chwili przypomniano obecnie: Również przypomniano z trudem, że Królestwo Polskie od trzech lat stanowi osobny okrąg młynarski, że zatem nietylko potrzebą własną, lecz i obowiązkiem stał się jego udział we wszelkich naradach. Inaczej widocznie sądzą nasi młynarze, bo oto na posiedzeniu delegacyi, na której miano roztrząsać sprawy już dawno rozstrzygnięte, przybyło zaledwie *czterech* członków, na zjazd zaś do Moskwy pojechał *jeden!* Co to jest? Niedojrzałość ekonomiczna, czy coś jeszcze gorszego? Wolno przedsiębiorcom, jako jednostkom, lekceważyć pewne interesy, ale nie wolno lekceważyć interesów całego kraju. Od chwili gdy przyjęto pewne zobowiązania na zjeździe poprzednim, gdy ogniwo poważnego działu produkcyi włączono ściśle do ogólnego łańcucha ekonomicznego, trzeba być czujnym na każde poruszenie i wstrząśnienie tego łańcucha. Młynarstwo jest ściśle związane z rolnictwem, handlem zbożowym i mącznym. Jednocześnie w tych grupach daje się spostrzegać pewna sprzeczność interesów. Handlarzom mąki jest na rękę dowóz obcego produktu, dla rolników zaś i młynarzy zalanie rynków tutejszych towarem dowozowym to klęska. Na to należało zwrócić baczną uwagę; tymczasem i rolnicy i młynarze składają swe sprawy z całkowitem zaufaniem w ręce... handlarza zbożowego, który im dotkliwy zawód wyrządzał. Chcąc tym błędom na przyszłość zapobiedz, trzeba przedewszystkiem postarać się o odpowiedni dobór ludzi. Od przedstawicieli na różnych zjazdach i naradach trzeba dużo wymagać nietylko co do fachowej znajomości rzeczy, ale i pod względem charakteru, uzdolnień umysłowych i stanowiska, niewymagającego wydeptywania bocznych ścieżek na własny użytek.

LITERATURA I SZTUKA.

BIOGRAFOWIE POETÓW.

Do najpiękniejszych chwil w życiu zaliczam te, w których młodociany umysł chciwie i gorączkowo pochłaniał utwory naszych wieszczów. Wyobraźnia płomienna, gorąca, przejęta siłą ducha poetów, oderwana od ziemi unosiła się nad poziomy, wybierała najpiękniejsze, najwznioślejsze sfery idealne, i w nich przebywała tak długo, jak tylko na to pozwolić mogło życie realne na padołach codziennych. Któż z młodzieży wrażliwej, nieschłej duchowo i moralnie, nie doznał tych chwil rozkosznych? Kto potrafił się oprzeć temu urokowi i sile wielkich umysłów natchnionych, porywających swą potęgą? Kto wzniesiony tą siłą wysoko, nie spojrzał na dół i na „płazy w skorupie," lub zagrzany czystymi ideałami i braterstwem nie odwrócił się ze wstrętem od tych, co byli „sami sobie sterem, żeglarzem, okrętem?" Niejeden z nas w chwili porywu entuzyastycznego, padłszy śród zawodu, był gotów nawet swem poległem ciałem — „dać innym szczebel do sławy ogrodu."

Umysły młodociane uprawiały kult geniuszów, kształciły się i mężniały pod ich wpływem. Więc gdyby się znalazł jaki bluźnierca, któryby śmiał cisnąć brudne słowo poecie, ściągnąć go z obłoku pływającego nad powszedniością ludzką, takiego zuchwalca co najmniej wykluczonoby z koła braterstwa duchowego. Wogóle ludzi wielkich, genialnych, zdolnych do porywania umysłów i budzenia szlachetnych pierwiastków duchowych, staraliśmy się idealizować, nie stosowaliśmy do nich słów poety: „Przez ciebie płynie strumień piękności, ale ty nie jesteś pięknością." Wielki duch, wielki umysł musi mieszkać w człowieku doskonałym, wzniosłym szlachetnym, czystym, niepospolitym nawet w najpowszedniejszych sprawach życiowych; w człowieku, który potrafi chodzić nawet przez błoto, nie zawalawszy się w niem wcale, który umie w sobie pokonać wszelkie zarodki słabostek, stąpać śmiało i mocno po pochyłościach, patrzeć jasnem okiem w niebo i jednocześnie omijać kałuże na ziemi, roztrącać orlemi skrzydły unoszące się nad nizinami chmury ołowiane i wzbijać się sokolim lotem wysoko nad niemi. Tak młodociane umysły odtwarzały wielkich, genialnych ludzi i takimi starały się zachować jak można najdłużej w swej wyobraźni. Nawet później wzbogaceni doświadczeniem i zubożeni odarciem ze złudzeń, usiłowaliśmy zapominać, że ci wielcy i niepospolici czasem musieli ze swych wyżyn niebotycznych schodzić na padoł powszedniości i zamieniać się w ludzi pospolitych.

Czy z takiem idealizowaniem geniuszów było źle umysłom młodocianym? — Przekonaliśmy się, że ze wszystkich złudzeń na świecie te są najlepsze, które pielęgnują w sobie ogień entuzyazmu, broniącego dusze od zardzewienia. Takim właśnie ogniem był nietylko zapał, wywołany słowami mistrzów natchnionych, ale i utrzymywanie ich postaci na wyżynach w aureoli czystego światła.

Innemi zasadami rządzą się dzisiejsi „komentatorowie" naszych wieszczów. Z artykułu Tetmajera w *Tygodniku Ilustrowanym* dowiedzieliśmy się, że dzieło p. Ferdynanda Hösika „O życiu Juliusza Słowackiego" galicyjska rada szkolna odznaczyła poleceniem gimnazyom. Umysły młodociane wzbogacą się tedy szczegółami biograficznymi o Słowackim, tj. obarczą swój umysł balastem w znacznej części zbytecznym, jednocześnie zaś zubożą się tem, co nas wzbogacało i czem mogliśmy się szczycić. Tak np. młodzież szkolna dowie się, że Mickiewicz, ten wieszcz, co każe unosić się nad poziomy, jest to sobie taki zwyczajny „facet," który umie „wymyślać" Słowackiemu, obelżywie wypędzać go z posiedzenia Towiańczyków, krzycząc na niego: „Paszoł won, durak!"; że Słowacki pochlebczo, niesmacznie i bez godności uniżał się przed Mickiewiczem, że bywanie u Czartoryskich w Paryżu „mile łechtało miłość własną Słowackiego," gdyż „nie każdy tam bywał przyjęty," że zatem był najpospolitszym, najmarniejszym człowiekiem, zdolnym do uniżania się przed tym, na którego poparcie moralne liczył, jak również do płaszczenia się przed arystokracyą, której blask zaćmiewał promienną koronę jego geniuszu, rozrzucającą szeroko sławę. Wogóle z anegdotycznego opowiadania p. Hösicka młodzież szkolna dowie się, że Słowacki był zwyczajnym sobie niepoziomem. Czy wobec tego młodzież owa potrafi się entuzyazmować strumieniem piękności, płynącym przez tych, którzy nie są pięknością? Czy potrafi ze słów natchnionych czerpać siłę do zbudzenia w sobie szlachetnych pierwiastków ducha? Gdybyśmy np. wiedzieli, że na dnie czystego zdroju leży padlina, nie bardzo by nam smakowała woda z niego, choćby była najklarowniejsza.

Słabe drobne ptactwo podobno podczas wędrówki dorocznej chowa się pod szerokiemi skrzydłami ptaków dużych i korzysta z siły ich lotu. W taki sam sposób drobne ptactwo literackie korzysta ze skrzydeł potężnych geniuszów, chcąc tą drogą dojść do sławy. Biografie poetów, bez względu jak są pisane, torują ich autorom wstęp do poważnych miejsc w literaturze; w rzeczywistości zaś wyrządzają jej wielką szkodę. Biografowie-„psycholodzy" (!) wzięli sobie za zadanie rozbierać naszych wieszczów do naga i w takiej postaci pokazywać ich ogółowi. Dzięki temu wiemy, co i kiedy oni jadali, jaki tytoń palili, jak się łajali, znamy różne na ich karb zmyślone anegdotki. Niewątpliwie p. Hösick i inni mogliby jeszcze coś więcej powiedzieć o czynnościach codziennych i nawyknieniach poetów, a nawet uroczyście zapewnić, że czynności te były nieodłącznym warunkiem istnienia; ale... niestety, nie mieli materyału odpowiedniego, którego nie przekazał im czas, ten srogi niszczyciel...

Gdy jednak poważnie i głęboko zajrzymy do działu studyów w literaturze naszej, przerażająca pustka rozpaczą nas napełni. Z wyjątkiem dzieła Chmielowskiego o Mickiewiczu, nie mamy prawie nic. Możemy jeszcze się pochwalić pracami Tarnowskiego o Krasińskim, Małeckiego o Słowackim, no i — pana Hösicka. Ale nie mamy tego, co posiadają literatury obce, jak np. praca Lewesa i wielu innych o Goethem, Gervinusa o Shakespearze itd. Nasi komentatorowie i autorowie biografij „psychologicznych" umieją się babrać w kurzu po pamiątkach wieszczów, zastanawiać się nad ich połamanymi guzikami i podartem obuwiem, z płaskich i bezwartościowych anegdotek wysnuwać wnioski... psychologiczne, za pomocą bujnej wyobraźni nadawać znaczenie temu, co można byłoby pominąć zupełnie — ale nie umieją napisać gruntownych studyów, w których rzeczywiście odmalowałyby się w całej pełni postacie duchowe i umysłowe naszych wieszczów. Doprawdy, tysiąc razy wolę „Listy z podróży" Odyńca, niż tego rodzaju sieczkę nastrzępioną, bo tam przynajmniej bez pretensyi, lecz w żywych barwach są skreślone postacie wielkich ludzi w różnych warunkach życia. Gdy Odyniec opowiada o czernieniu Mickiewiczowi śpiącemu brwi za pomocą korka spalonego przez figlarzy wesołych, wierzymy i nie widzimy w tem żadnej ujmy dla potężnego poety. Gdy zaś pan Hösick wydobywa z wątpliwych źródeł takie cacko, jak: „Idź precz, durniu!" — budzi to niesmak niesłychany i zniechęca do „studyów psychologicznych" tego autora. Mógł nieraz Mickiewicz powiedzieć w swojem życiu: „durniu," a nawet i „ośle!" Łatwiej to jednak wybaczyć twórcy „Pana Tadeusza," niż p. Hösickowi wydobywanie takich śmieci, które podaje czytelnikom za złoto.

Mickiewicz i Słowacki odbywali długie podróże i to nie sposobem nowoczesnym. Jeździli końmi, nocowali nieraz w różnych zajazdach i oberżach, gdzie niewątpliwie toczyli walkę z masą drobnych stworzonek krwiożerczych, o czem jeszcze nie mówił zdaje się żaden komentator. Gdyby jednak którykolwiek z wieszczów naszych zbudził się i przeczytał to wszystko, co o nim piszą, doznałby może większego podrażnienia skóry, niż podczas noclegu w najniechlujniejszej oberży.

Zenon Pietkiewicz.

NOWOCZESNY SAWONAROLA.

(Luźne uwagi).

IV.

Zasadniczym błędem estetyki jest [illegible] — według Tołstoja — przyjęcie za miarę sztuki pojęcia o pięknie, o tem, co się podoba, a więc o tem, co sprawia przyjemność, uciechę. Uciecha bowiem nie może być miarą wartości rzeczy, sprawdzianem żadnej działalności ludzkiej. Cóż powiedzielibyśmy o tych, którzy o przeznaczeniu jadła, o celu jedzenia sądziliby ze stanowiska przyjemności, sprawianej przez jedzenie? Podobnie jak ser limburski, pieprz i ostrygi nie mówią nic o roli jadła w sprawie podtrzymania życia, tak samo wypieszczony w formie wierszyk dekadencki nie daje pojęcia o roli sztuki w życiu ludzkości. Dopiero wówczas — powiada Tołstoj — zrozumiemy znaczenie sztuki, kiedy za cel działalności artystycznej przestaniemy uważać piękno, tj. uciechę.

Czy zaspokojenie potrzeby nie ma na celu zadowolenia? Czy zadowolenie nie jest zasadniczą potrzebą? Nie mówimy już o tem, że gdyby poboczne cele nie odegrały tak ważnej roli, ludzkość spożywałaby dzisiaj tylko suchy chleb — mylę się, tylko ziarna zboża, wyłuskane z łupin i niezmielone na mąkę, jak bywało przed wiekami, albo idąc jeszcze dalej wstecz — tylko korzonki. Ale jadło i piękno są to rzeczy różne. Nic nie przeszkadza istnieniu działalności, mającej za zasadniczy cel właśnie przyjemność, tj. tak zwaną rozkosz estetyczną.

Przyjemność — to przecie pierwiastek szczęśliwości. Wielu filozofów oparło całą etykę na zasadzie szczęścia powszechnego. Czy Tołstoj, nawołując ludzi do pełnienia dobra, żąda urzeczywistnienia jakiegoś zimnego, suchego, kategorycznego imperatywu, nakazującego działać bezwzględnie, bez żadnego zasadnika, dla jakiegoś niewiadomego celu? Wszakże tak nie jest!... Jeżeli żąda on dobra, to w imię szczęścia ludzkości. A elementem szczęścia jest wzgardzona przez Tołstoja uciecha.

Zbywszy dość luźną krytyczną uwagą poglądy estetyków — fizyologów, wyprowadzających sztukę ze skłonności do zabaw, powstałej jeszcze w królestwie zwierzęcem z uczucia miłości płciowej, poglądy, upatrujące w działalności artystycznej potrzebę wyładowania nadmiaru energii nerwowej, powiązanego z przyjemnem podrażnieniem — Tołstoj zastanawia się nad właściwością natury ludzkiej zarażania się jednych ludzi uczuciami drugich; na widok zewnętrznych oznak tych uczuć człowiek śmieje się, ziewa, płacze, a drugiemu człowiekowi robi się wesoło, nudno, smutno. Na tej skłonności do zarażenia się cudzemi uczuciami opiera się cała działalność artystyczna.

Oczywiście — wyjaśnia Tołstoj — sztuki niema jeszcze tam, gdy ktoś zaszczepia swoje uczucia innemu bezpośrednio samym widokiem w tym samym momencie, kiedy przez nie sam przechodzi, np. kiedy płacząc pod wpływem cierpienia, wywołuje w innym smutek. Sztuka zaczyna się wówczas, gdy człowiek, w celu wzbudzenia w innych doświadczonego przez siebie uczucia, wywołuje je w sobie ponownie i wyraża je pewnymi zewnętrznymi znakami. Oto chłopiec spotyka w lesie wilka i krzykiem swoim budzi strach w idących za nim zdala towarzyszach — w tym fakcie przelewu uczuć niema jeszcze sztuki. Ale gdy tenże chłopiec, opowiadając towarzyszom o minionem spotkaniu z wilkiem, odmalowuje im ową scenę i swój stan, a przeżywając w opowiadaniu doświadczone uczucia, zaraża niemi słuchaczów — w tem mamy już sztukę. Mamy ją i wówczas, gdy ów chłopiec wilka nie widział, ale bał się go często i zmyśla skotkanie, a opowiada je tak, że strach swój zaszczepia innym. Przeżywszy więc w rzeczywistości lub w wyobraźni boleść, rozkosz itp., wywołać w sobie ponownie doświadczone uczucia, a wywoławszy je, świadomie, za pomocą pewnych znaków zewnętrznych (ruchów, linij, barw, dźwięków, obrazów w słowie) wyrazić je tak, aby inni, spostrzegając je, zarażali się temi samemi uczuciami — oto co się nazywa działalnością artystyczną.

Tak pojęta sztuka przestaje być w mniemaniu Tołstoja objawianiem wzruszeń dla swojej i cudzej przyjemności, przestaje być fabrykacyą nieistnych przedmiotów, przestaje być zabawą, a staje się niezbędnym dla życia i dla postępu ku dobru każdego człowieka zosobna i całej ludzkości wogóle środkiem porozumiewania się, jednoczącym ją w jednych i tych samych uczuciach.

Dwa są bowiem narzędzia, albo, jak mówi Tołstoj, „organy postępu": słowo i sztuka. Słowo służy do komunikowania myśli, sztuka — uczuć. Pierwsze pozwala każdemu człowiekowi dowiedzieć się, co przemyślała cała ludzkość i przyjąć udział w wiedzy powszechnej. Druga czyni dostępnem dla człowieka wszystko, co przeżyła ludzkość, wszystkie uczucia za równo przodków z przed tysięcy lat, jak i współczesnych. „Bez zdolności przejmowania cudzych myśli, wyrażanych przez słowa, ludzie żyliby, jak zwierzęta." „Bez tej drugiej zdolności — zarażania się sztuką—ludzie byliby jeszcze dziksi, niż zwierzęta, gdyż żyliby w odosobnieniu i we wrogim stosunku do siebie." „Działalność sztuki jest więc nader ważną, tak ważną, jak działalność mowy i również rozpowszechnioną."

Oto jest ta Ameryka, którą Tołstoj odkrył na tajemniczym oceanie zagadnień filozoficznych. Niezaprzeczenie są to myśli trafne, uogólnienia umiejętną czynione ręką, ale niema w tem wszystkiem ani niezwykłej nowości, ani rozstrzygnięcia zawiłej kwestyi. Zadanie estetyki oświetlone zostało tylko z jednej strony, ale ani bardziej rzęsistem światłem, ani na szerszej przestrzeni, niż w dziełach tak srogo skrytykowanych poprzedników. Nową też jest tylko ta pewność, z którą Tołstoj podaje swoje rozwiązanie, mające jakoby unicestwić wszystko, co filozofowie przemyśleli w tym przedmiocie, i za jednym rzutem zerwać zasłonę z wiekowej tajemnicy.

Zastanówmy się bowiem tylko.

Tołstojowskie określenie sztuki z jednej strony rozszerza się nieograniczenie i obejmuje niemal wszystko. Z drugiej opuszcza nader ważne objawy, niewątpliwie należące do dziedziny sztuki. Obejmuje ono wszystkie środki zarażania uczuciami przy danych przez Tołstoja warunkach, a więc religijne obrzędy, kazania, manifesty królewskie, modlitwy, odezwy, rozkazy do armii, bodaj nawet manewry wojsk. Opuszcza pomysły architektury, arabeski, szczegóły ornamentacyjne, pejzaże, wszelkie obrazowania idei, obserwacye, i lekceważy całą technikę artystyczną, styl, koloryt, proporcyę, wszystko to, co nie wypowiada określonego uczucia, a służy tylko pięknu.

Dziki indyanin przypomina sobie uczucia wściekłości, które budził w nim nieprzyjaciel, chwyta zawieszony na ścianie wigwamu skalp wroga, potrząsa nim przed oczyma współplemieńców i zaraża ich swojem uczuciem — oto próbka sztuki, jeżeli przyjmiemy określenie Tołstoja. Malarz pod wpływem tęsknoty dla rodzinnego miejsca odtwarza na płótnie piękny kawałek natury, zachwyca wszystkich, ale tęsknoty w nikim nie budzi — niema sztuki, według Tołstoja. Ktoś zaraża swojem uczuciem, wypowiedzianem w najgrubszy i najniedołężniejszy sposób odgadujących go dzięki wysokiej wrażliwości słuchaczy — sztuka. Ktoś wznosi przecudowny gmach, zdobiąc go wytwornie, ale nie wiadomo, przez jakie uczucia przechodził podczas budowania — niema sztuki. To, co zaraża uczuciem nieokrzesane tłumy, chociażby w człowieku wysokiej kultury budziło wstręt i odrazę, ma być sztuką wielkiej wartości, podczas gdy utwór piękna, chociażby podyktowany przez najszlachetniejsze uczucia, jeżeli oceni go tylko mała garsztka ludzi najbardziej wykształconych, a nie zarazi on uczuciem zimnych i ciemnych mas, nie będzie sztuką, albo będzie sztuką niskiej próby — takie są wnioski logiczne z teoryi Tołstoja.

Wogóle, podział organów postępu na słowo i sztukę nie wytrzymuje krytyki. Słowo jest jednym ze środków sztuki.

Niepodobna także odgraniczyć zupełnie porozumienia się myśli od porozumienia się uczuć. Myśl komunikowana jest z pewną dozą uczucia — wszelkie więc porozumienie się myśli wejdzie w sferę sztuki, a nie wejdzie w nią to, co wejść powinno, oddanie obrazu, melodyi, obserwacyi, gdy pierwiastek uczuciowy jest dowolny i o identyczność uczuć twórcy z uczuciami widza lub słuchacza nikomu z nich nie idzie.

Nareszcie, kwestya wtórnego przeżywania uczucia wprowadza niesłychaną zawiłość. Odpadają uczucia rodzące się w natchnieniu podczas samej gorączki tworzenia. Niezrozumiałą staje się ogromna dziedzina sztuki — odtwarzanie obserwowanych cudzych uczuć. A co najważniejsze zdolność do zarażenia się cudzemi uczuciami nie objaśnia wcale samego faktu działalności artystycznej — odtwarzania uczuć już przeżytych i minionych.

Duchowa rozkosz, którą daje to odtwarzanie artyście, i odczucie artysty — tłumowi, ta rozkosz, która jest właśnie wyrazem potrzeby wyładowania nadmiaru energii nerwowej, dopiero wprowadza nas we wrota estetyki, do których Tołstoj nie trafił po swojej ścieżce.

Zdawałoby się na pozór, że droga, którą on obrał, bądź co bądź nie wyprowadzi nas na bezdroża. Jego określenie sztuki obejmuje całą skalę uczuć ludzkich, otwiera przeto przestwory, po których duch nawet pohulać może. Komunikować sobie uczucia — a więc wszelkie, złe i dobre, uczucia miłości i nienawiści, przesytu, rozkoszy, rozpusty itd. — oto rola sztuki, która uśmiechnie się sybarycie, jednostce zdeprawowanej itd. Zasada zarażania się, jako podstawa estetyki, nie wydaje się wcale bezpieczniejszą od odtrąconej ze zgrozą zasady piękna.

Obaczymy jednak zaraz, jak zręcznie poradził sobie Tołstoj, aby zadośćuczynić swoim celom i w jaki sposób, wyszedłszy ze swojej zasady („zarażania się uczuciem"), poprowadził nas na manowce ascetyzmu, skurczenia sztuki do rodzaju religijnego moralizatorstwa, oraz negacyi ogromnych obszarów piękna wzorem Sawonaroli.

Rozumowanie Tołstoja jest nader proste.

Skoro zgodzimy się, że rola sztuki polega na zarażaniu uczuciami, a uczucia mogą być dobre i złe, małej i wielkiej wagi, wzniosłe, niskie i poprostu puste, to zgodzimy się także, że tylko pewna sztuka zasługiwać będzie na poparcie, tj. ta, co szerzy uczucia dobre, czyli oparte na poczuciu religijnem, pozostała zaś sztuka powinna być bądź lekceważoną (wyrażająca uczucia małej wagi), bądź tępioną bez litości (wyrażająca uczucia złe). Skoro istnieje nieprzebrane bogactwo objawów sztuki, przepełnia ona bowiem całe życie, niepodobna więc popierać

czynnie całej sztuki, tj. wytwarzania miliarda drobiazgów, zarażających uczuciami marnemi i przechodniemi, lecz należy wybrać pewien jej dział poważny i znaczny; takim będzie właśnie dział sztuki, który wynika z religijnego poczucia mas. Skoro ostateczny cel sztuki tkwi w zjednoczeniu wszystkich ludzi w jednych i tych samych uczuciach, to wartościową, dobrą, zasługującą na poparcie będzie tylko taka, która zaraża nie małe kółka, ale ogromne masy, będąc dla nich dostępną, a zatem znowu taka, co wyraża religijną świadomość całego narodu.

Ten dział sztuki, znaczny i poważny, zdaniem Tołstoja, wyodrębniany był zawsze z całego obszaru i tylko tej małej części, jako posiadającej jedynie ważne znaczenie, ludzie nadawali miano właściwej sztuki.

„Tak patrzyli na sztukę ludzie starożytności: Sokrates, Plato i Arystoteles. Tak patrzyli na nią prorocy żydowscy i starodawni chrześcianie; tak pojmowali ją mahometanie i tak ją pojmują ludzie religijni z ludu w naszych czasach."

„Niektórzy nauczyciele ludzkości, jak Plato w swojej *Respublice*, pierwsi chrześcianie, surowi mahometanie i buddyści częstokroć negowali wszelką sztukę" — dodaje autor i poucza nas zaraz w następujący sposób:

Ludzie ci, jasno odczuwając, że sztuka niebezpieczniejszą jest, niż słowo, bo zaraża nawet przeciw woli, z mocą nieodpartą, podczas gdy słowa można nie słuchać, sądzili, że ludzkość mniej straci, jeżeli wygnaną będzie wszelka sztuka, niż jeżeli dopuszczoną będzie jakakolwiek.

Był to błąd — przyznaje wspaniałomyślnie Tołstoj — bo zaprzeczano istnieniu jednego z niezbędnych środków porozumiewania się, bez którego ludzkość nie mogłaby żyć, ale ludzie naszej europejskiej, ucywilizowanej społeczności, naszego koła i czasu, zezwalając na istnienie wszelkiej sztuki, byleby służyła pięknu tj. uciesze, trwają w błędzie wcale niemniejszym. „Gdy bowiem dawniej obawiano się, aby w liczbie przedmiotów sztuki nie przekradły się demoralizujące ludzkość i zabraniali sztuki zupełnie, to dzisiaj już tylko się boją, aby nie stracić żadnej przyjemności, osiąganej ze sztuki, i opiekują się wszelką."

„A ja sądzę — powiada z mocą moralista rosyjski — że ten ostatni błąd jest jeszcze dzikszy, aniżeli pierwszy, i że skutki jego są znacznie szkodliwsze."

Tak oto sztuka dostaje się pod kuratelę nowoczesnego Sawonaroli. Tołstoj, otrzymawszy z rąk Aryadny — moralności zbawczy kłębek nici dobra, wysnutego z poczucia religijnego, ma nadzieję wyjść bezpiecznym z labiryntu zagadnień filozoficznych po zabiciu klasycznego Minotaura estetyki — pojęcia o pięknie. Zobaczymy zaraz, jak on błądzi w tym labiryncie i na jakie bezdroża nas prowadzi.

(D. n.)

L. Belmont.

MALARSTWO.

Siemiradzki. — Wystawa wiosenna.

Ostatni akt tragedyi... Na krwią zbroczony piasek areny padł śmiertelnie ugodzony byk. Męczennica zsunęła się z niego na ziemię. Złota fala włosów oplotła rogi rozjuszonego zwierzęcia i utrzymuje ponad ziemią głowę świętej. Resztki powrozów, krępujących jej ciało, wiszą jeszcze u rąk i u nóg, krwawo znacząc ślad swój na alabastrze skóry. Na twarzy dziewicy zastygł wyraz bezdennego cierpienia... A nad nią stanął dumnie cezar, otoczony świtą kobiet i senatorów i patrzy pogardliwie na tę, która w czasach rozpasania namiętności i uciech ziemskich zechciała ponieść śmierć męczeńską za pełne ułud królestwo niebieskie Patrzy na nią Neron z tą pogardą, jakiej epikurejczyk nie szczędzi stoikowi, moralny parweniusz — człowiek idei... A wkoło, na galeryach dalekich cyrku piętrzy się tłum różnobarwny, kląszczący, roznamiętniony widokiem krwi i potężnego władcy... Ave Caesar!..

Oto bogaty, ponętny treścią i formą *temat* ostatniego obrazu Siemiradzkiego. Czy jednak artysta wyzyskał na korzyść dzieła całe w nim zawarte bogactwo — to inna kwestya. Zdaje się, że — nie. Wobec tego płótna, jak i wobec większości obrazów Siemiradzkiego, pozostajemy chłodni, pozostajemy tylko obojętnymi widzami, którzy udziału nie biorą w dramacie. Podziwiamy bogactwo szczegółów, pewność ręki mistrza, zachwycamy się oddzielnymi fragmentami, lecz całość nas nie przejmuje, nie targa ukrytych strun duszy, które wydają tony wzruszeń. Ten wielki płomień wiary, który przed chwilą płonął jeszcze w piersi męczennicy, a teraz być może zapalił tysiące płomyków w duszach tłumu, nie bije łuną z obrazu, nie rozgrzewa serca widza. Jest pomiędzy dziełem a publicznością jakaś niewytłomaczona przepaść, której przebyć nie jesteśmy w stanie. Czemu? Nam się zdaje, że wypływa to z samej natury talentu Siemiradzkiego. Artysta ten ukochał w świecie klasycznym wyłącznie prawie to jego zewnętrzne, dekoracyjne piękno. Marmurowe kolumnady pałaców, portyki świątyń, alabastrowe cysterny, purpurowe togi, płaszcze, mieniące się tęczą kamieni różnobarwnych, złote puhary, wieńce z róż na czołach biesiadników, nagie ciała, a nad tem wszystkiem pogodne niebo i promieniste słońce Helady lub Romy— oto świat, w którym obraca się fantazya Siemiradzkiego. Zachwyca się on nim i kocha go, jak rzeźbiarz — piękno formy, archeolog — wykopaliska, sybaryta — wygodne życie w pięknem otoczeniu. Ten świat klasyczny rozpala w Siemiradzkim tylko wyobraźnię artysty, lecz nie duszę człowieka; dlatego też płótna jego wywołują zachwyt, wzbudzają podziw, lecz nie zmuszają serca do przyspieszonego bicia. Najtragiczniejsze momenty, jak np. w „Świecznikach" lub teraz w „Dyrce," traktuje jak wielki artysta, lecz nie jak człowiek gorącego serca. Nie można tego nawet nazwać wadą—jest. to właściwość talentu, który należy przyjąć takim, jakim jest i nie wymagać odeń rzeczy, których nam dać nie może.

Więc już nie zarzucamy Siemiradzkiemu, że wobec jego nowego dzieła pozostajemy niewzruszeni; natomiast mamy do niego żal, że niejednakową ilość talentu i pracy wkłada w oddzielne szczegóły płótna, przez co zmniejsza wrażenie estetyczne, tj. jedyne, jakie wywołać może. Szczególnie razi ten brak równości roboty w samej postaci męczennicy. Ciała kobiet Siemiradzkiego przypominają prawie zawsze poematy, tworzone przez poetę w rozmaitych stadyach natchnienia. Obok strof, przepięknie rzeźbionych, wprost cyzelowanych dłutem artysty, zdumiewających harmonią rytmu i bogactwem rymów, rażą inne, zaniedbane, ciężkie, zdradzające co chwila „robotę," kulawe i pod względem rytmu i rymu. To samo daje się zauważyć i w „aktach" Siemiradzkiego. Obok szczegółów pięknych i wystudyowanych mamy inne, brzydkie brakiem wykończenia, ba, nawet wadami rysunku (przypomnijmy sobie tylko, co Witkiewicz pisał o „Fryne") i kolorytu. „Dyrce" np. ma prześlicznie wykończoną górną część ciała do pasa, rzeczywiście piękną przez karnacyę, delikatność rysunku, miękość plastykę; dolna część natomiast, wprost poplamiona brudnymi cieniami, a nogi wadliwe w rysunku, odznaczające się zupełnym brakiem plastyki i życia. I twarz męczennicy razi niewykończeniem, jak również i leżąca na piasku areny ręka...

„Żyje, czy już nie żyje?" — oto pytanie, jakie sobie zadaje publiczność, skupiona przed obrazem. Odpowiedzieć na nie trudno. Może tylko omdlała, bo nie widzimy nigdzie przyczyny śmierci. A może umarła, zabita tym gradem dzikich spojrzeń, co padły na jej nagie, dziewicze, tylko „wstydem osłonięte" ciało? Może jej biedne serce pękło w tej chwili wzruszeń tytanicznych, które jej pierś rozsadzały? Może umarła wolą własną, samem pragnieniem opuszczenia tego piekła złego i podłości, aby wznieść się tam, kędy króluje wcielona dobroć i miłosierdzie? Kto odgadnie...

Jest dużo prawdy w grupie osób, otaczających cezara, w samej postaci jego, w gladyatorach, tłoczących się u wyjścia, koło którego kilku etyopczyków trzyma złoconą i szkarłatem obitą lektykę Nerona. W niektórych twarzach znać już to wahanie, z którego się narodzi wkrótce miłość dla tej „nowej wiary, co Rzym rozprzęga." Na innych, które są jakby skorupa twarda, otaczająca duszę i niedopuszczająca do niej wzruszeń, odbija się tylko ciekawość i zdziwienie sybaryty, nierozumiejącego tej dziwnej rozkoszy, jaką daje śmierć dla idei... A nad areną słońce kryje powoli w woale obłoków twarz swoją, aby nie patrzeć na nową zbrodnię zwierzęcia — ludzkiego.

Znakomita perspektywa obrazu, liniowa i powietrzna, żywość kolorytu, śmiałość pędzla, ślizgającego się z pewnością siebie po murach i kolumnach cyrku, postaciach ludzkich i akcesoryach, umiejętny układ figur — oto są te pazury, po których można poznać lwa. Lecz tego wszystkiego za mało, aby zaliczyć „Dyrce chrześciańską" do lepszych dzieł Siemiradzkiego. Niewątpliwie, z punktu widzenia artystycznego stoi ostatnie płótno o całe niebo wyżej, niż taka, dajmy na to, „Apoteoza Kopernika," lecz nie sięga bynajmniej tego poziomu, na który się wzniosły dawniejsze jego dzieła.

A teraz przenieśmy się z klasycznej ziemi rzymskiej na piaski mazowieckie. Przywitają nas „młodzi" na wystawie wiosennej. Podobno to, co widzimy obecnie w Salonie artystycznym, są to tylko resztki, ale i śród tych resztek znaleźć można rzeczy niepośledniej wartości. Jedno z pierwszych miejsc należy się bez wątpienia kartonom szkicowym Alchimowicza do obrazów, przeznaczonych dla kościoła św. Jadwigi w Petersburgu. Są one stanowczo prześliczne i samo przez się stanowią już piękne dzieło sztuki. Dziwne tylko, że artysta, który wzniósł się w nich do wyżyn, gdzie króluje temat tak idealny, jak motywy z życia Chrystusa, potrafił jednocześnie namalować rzecz tak potworną, jak ten pożar chaty z napół zwęglonym trupem kobiety. Niech sobie ten obraz ma, jakie chce, zalety rysunku, kompozycyi i kolorytu, pomimo to pozostanie wstrętnym: stanowczo istnieją tematy takie, które dla sztuki, mającej być wyobrazicielką piękna, nie nadają się.

Dziwne koleje przechodził w swym rozwoju p. Rapacki. Z początku zdolny, nawet bardzo zdolny pejzażysta ze szkoły Chełmońskiego, wpadł powoli w manię i stał się nudnym. To jednak, co wystawił teraz, znamionuje w pracy jego zwrot szczęśliwy. Jego motywy uliczne, w których znać wpływ Gierymskiego, są doskonałe; najtrudniejsze kombinacye świetlne nie robią mu trudności, układa z nich symfonię prawdziwą barw, świateł i cieni. Ma p. Rapacki oko czułe, nakształt kliszy aparatu migawkowego i dzięki te-

mu umie utrwalić na płótnie chwilowe życie ulicy; tę właśnie cechę wzrokową powinien posiadać artysta, uprawiający taki rodzaj malarstwa — inaczej będą przypominały jego obrazy marne ilustracye „familienblattów“ niemieckich. I w motywach krajobrazowych oraz pompejańskich znać postęp znaczny. Rapacki — to teraz artysta dojrzały, świadomy swej siły, artysta, po którym sztuka ma prawo jeszcze wielu dzieł pięknych się spodziewać.

Z paroma również krajobrazami wystąpił p. Popowski. Jego specyalnością niemal stają się motywy światła księżycowego, które rzeczywiście starannie wystudyował. I jemu „spać nie dają laury“ Gierymskiego: wystawił również wcale nietuzinkowy motyw uliczny, o którym wspominaliśmy już w swoim czasie.

Na ostatek zwracamy jeszcze uwagę na śliczne studyum Maryi Gażycz. Już to przyznać należy, że wkłada ona w swe studya dużo prawdy i duszy. Niech nam reszta artystów wybaczy, że płótna ich pominiemy milczeniem; lecz doprawdy niema chyba nic trudniejszego, niż sprawozdanie z tej masy obrazków, może i ładnych, lecz niezapisujących się w pamięci widza ani oryginalnością pomysłu, ani szczegółami wykonania.

Michał Mutermilch.

SPRAWY EKONOMICZNE

KRONIKA SPOŁECZNA.

Zrzeszenie spożywców angielskich. — Związki angielski i szkocki. — Produkcya przedmiotów na potrzeby spożywców. — Nowe wzory, powołane do życia. — Skutki.

Rozwój towarzystw spożywczych w Anglii dosięgnął poziomu, nieznanego w innych krajach. Liczba spółek, członków, wreszcie dokonywanych obrotów jest tak znaczną, iż przyzwyczajonym do skromnych cyfr naszego zrzeszenia spożywczego może wydać się czemś bajecznem. W Anglii, śród dzisiejszego ustroju stosunków wymiennych i nawet wytwórczych, powstaje organizm zgoła obcy, który wzrasta z roku na rok, znalazłszy się w rękach trade-unionistów. Rzekłbyś: kryształ osadza się w roztworze. Można spierać się, czy ten nowotwór ogarnie całe społeczeństwo angielskie i przetworzy obecny system rozdzielczy na zrzeszony, jak o tem marzą ideologowie kooperatyzmu spożywczego. Jednak niema wątpliwości, że już obecnie stanowi on w Anglii potężną siłę, że rozwija się coraz lepiej, brzemienny w nowe wzory i że wielu stronami swemi daleko odbiegł od ducha teraźniejszości. Z pośród urządzeń, które do życia powołał, wybierzmy jedno, mianowicie organizacyę hurtową zakupu, tj. zrzeszenia pojedynczych towarzystw w szersze związki dla wspólnego sprowadzania towarów.

Takich związków jest dwa, jeden angielski, drugi szkocki. Pierwszy posiada rozmiary o wiele rozleglejsze i dlatego przedstawia wzory bardziej posunięte.

Związek angielski, *English Wholesale Cooperative Society*, istnieje od r. 1862. Próby w tym kierunku robiono już wcześniej, ale bez dodatniego rezultatu, prawo bowiem nie chciało słyszeć o opiece nad zrzeszeniem, co zradzało liczne nadużycia, uchodzące bezkarnie. Dopiero w tym roku parlament uchwalił bil, uznający istnienie prawne związków. I doświadczenie lat ubiegłych wskazało najwłaściwsze sposoby organizacyi i uchroniło od nowych przykrości. Związek był początkowo prostą agenturą zakupów, ale po upływie pół roku porzucono tę zasadę, która okazała się nietylko niewłaściwą, lecz nawet bardzo szkodliwą. Zamieniono go na stowarzyszenie spożywcze wyższego rzędu, którego członkami są nie pojedyncze osoby, ale miejscowe towarzystwa spożywcze. Każde z tych ogniw niższego rzędu, bez względu na zamożność swoją, posiada te same prawa, przywileje i stosunkową odpowiedzialność. Mianowicie każde stowarzyszenie jest właścicielem pewnej liczby akcyj, będącej w stosunku prostym do liczby członków swoich — mniejsza, jak te akcye rozdzielone będą pomiędzy tymi ostatnimi. Akcye otrzymują pewien procent, reszta zaś dochodu, po odliczeniu kosztów interesu i pewnej sumy na zwiększenie kapitału obrotowego, bywa dzielona pomiędzy towarzystwa pojedyncze w stosunku do dokonanych przez nie zakupów. Podczas zjazdów każde stowarzyszenie głosuje proporcyonalnie do liczby członków. Przy dokonywaniu obstalunków trzeba złożyć pewien zadatek, resztę zaś kwoty uiszcza się w tydzień po otrzymaniu towarów zamówionych.

Zasady te od czasu założenia związku nie uległy żadnym zmianom. A tymczasem organizacya ta rozwija się przewybornie. Ogół dokonanych przez nią w r. 1864 sprzedaży wyniósł zaledwie około 52 tysięcy funtów sterlingów, w zeszłym zaś roku przewyższał cyfrę $11\frac{1}{4}$ milionów, tj. około stu milionów rubli. *English Wholesale Society* jest dzisiaj na świecie największą firmą handlową. Czysty dochów roczny wynosi przeszło $1\frac{1}{4}$ mil. rubli, liczba członków dochodzi miliona. Warto także poznać cyfry, podające obrót roczny, dokonany niektórymi główniejszymi produktami. W r. 1897 sprzedano mianowicie (podajemy cyfry zaokrąglone):

	Wartości (w fun. ster.)	Wagi (w tonnach)
masła	2,540,000	24,000
[illegible]	1,154,000	84,000
sera	329,000	6,250
wędlin	673,000	17,000
suszowych owoców	194,000	8,400
herbaty. . . .	674,000	4,420
kawy i kakao	220,000	1,670

Liczby te dają dostateczne pojęcie o rozmiarach obrotu rocznego. Atoli ta działalność jest może mniej oryginalną częścią zrzeszenia, do takich bowiem stosunków stowarzyszenia spożywcze przyzwyczaiły nas już oddawna. „Merkury“ warszawski nie może mierzyć się z olbrzymami zagranicznymi, ale zasady są i tu i tam jednakowe. Cała różnica polega jedynie na ogromie obrotów: tu tysiące, tam setki tysięcy! Natomiast inna rzecz pociąga ku sobie uwagę ekonomistów. Licząc około miliona członków i sprzedając rocznie samego masła za dwadzieścia parę milionów rubli, związek spożywczy angielski rozporządza takiem gronem stałych odbiorców, jakiem żadna firma na świecie nie zdoła się poszczycić. Rynek ów jest stały i obszerny. Wobec tego postanowiono wziąć się do samodzielnej produkcyi niektórych przedmiotów, ażeby w ten sposób wydrzeć interesowi prywatnemu jedną i drugą sferę działalności i zamienić je na gałęzie zrzeszenia spożywczego, mającego na widoku dobrobyt spożywców. Początek takich zamiarów datuje się od r. 1872, kiedy w pobliżu Manchesteru założono fabrykę tak zwanych biszkoptów. Dzisiaj ogólna suma dochodów, wpływająca do kasy ze sprzedaży własnych produktów, wynosi około miliona funtów sterlingów, tj. dziewięć razy tyle rubli. Zrzeszenie angielskie w paru działach produkcyi stworzyło wyrób na tak wielką skalę, iż jego warsztaty są największe w Anglii. W tej liczbie przedewszystkiem winniśmy wymienić fabrykacyę obuwia. Odpowiedni zakład, znajdujący się w Leicestrze, daje zatrudnienie 2,230 osobom i w ostatnim roku (1897) wyprodukował 1,341 tysięcy par obuwia; nadto dla powodów niezrozumiałych otworzono jeszcze drugi warsztat, dostarczający zarobku 392 osobom. Pierwsza z tych fabryk jest czynną około 25 lat i dała związkowi czystego dochodu w zeszłym roku na sumę 90 tysięcy rubli. Tak samo powiodło się z wyrobem mydła, do którego zabrano się w r. 1874; niebawem trzeba było założyć jeszcze drugą fabrykę, z którą złączono wytwarzanie zapałek. Z biegiem czasu coraz bardziej rozszerzano działalność wytwórczą: w r. 1887 otworzono pracownię bielizny w Batley (132 osób), ubiorów w Leeds (500 osób) i w pobliżu Manczesteru (400 osób), r. 1891 założono młyn, który wyprodukowywa w godzinę 40 worków mąki i zatrudnia 169 osób; istnieje fabryka konfitur, zatrudniająca prawie 400 osób, drukarnia i introligatornia, że nie wymieniamy paru pomniejszych. Ogólna liczba zatrudnionych robotników w różnych warsztatach zrzeszenia wynosi przeszło 5,000 osób. Wszystkie zakłady są urządzone według ostatnich wymagań higieny, izby do pracy są powietrzne i obszerne, dobrze oświetlone, zarobki płacone są wyżej normy wyznaczonej przez trades-uniony, długość zaś dnia roboczego mniejsza, niż panująca w danej okolicy. Zresztą zrzeszenie spożywców angielskich nie poprzestało na powyżej wymienionych gałęziach pracy miejskiej, ale rozszerzyło swoją działalność i na sfery rolnictwa. Nabyło ono świeżo w okolicy Shrewsbury grunta, ażeby tam poprowadzić gospodarstwo rolne, w r. 1894 zaś zaczęło wyrabiać masło z mleka w Irlandyi.

Zyski olbrzymie, pobierane za przewóz morski przez prywatnych przedsiębiorców, skłoniły związek angielski do kupna statków. Pierwszą próbę zrobiono w r. 1876, dzisiaj posiada on siedem parowców, jeżdżących pomiędzy Anglią a lądem stałym, oraz agentów, nabywających produkta spożywcze z pierwszej ręki. Są oni rozproszeni w różnych miejscach, nawet w Ameryce północnej, obecnie zaś są przedsiębrane próby zawiązania takich samych stosunków bezpośrednich z Australią. Również tacy sami agenci istnieją w okolicach, produkujących herbatę, kawę i kakao. Składy herbaty związku, znajdujące się w Londynie, zajmują 75 tysięcy stóp kwadr. i są największe w Anglii. Pracuje w nich kilkaset osób. Istnieją także magazyny dla wędzenia i przechowywania wędliny.

Jednocześnie udoskonalono różne rodzaje ubezpieczenia wzajemnego. Towarzystwa pojedyncze spożywcze ubezpieczają się w związku przeciw stratom, o jakie niedbałość lub zła wola oficyalistów może je przyprawić. Istnieje także ubezpieczenie funduszu dla dzieci i na wypadek śmierci. Wreszcie w r. 1872 założono bank, w którym tylko towarzystwa mogą dokonywać operacyj. Obrót roczny w r. 1897 wyniósł około 350 milionów rubli.

Liczby te mówią za siebie. Spożywca angielski okazał się zdolnym nietylko stworzyć miejscowe stowarzyszenia spożywcze i poprowadzić je dobrze, ale nadto dokonał tego na przestrzeni całej właściwej Anglii i Walii, obraca tam olbrzymiemi sumami, zawiązał stosunki bezpośrednie z odległemi okolicami i powołał do życia w niektórych zakresach działalności gospodarczej wzory wytwórcze, przewyższające wszystko to, co uskutecznił tak wielbiony interes indywidualny, według oświadczenia ekonomii popolitej jedynie posiadający dostateczną rzutkość i pobudkę. Obok związku angielskiego istnieje jeszcze szkocki, odrębność zaś taka nie jest wynikiem walki i współ-

zawodnictwa, ale wprost wypływa z chęci uniknięcia zbyt złożonej maszyneryi. Obroty jego są o wiele mniejsze, liczba członków wynosi około dwustu tysięcy. Warto jednak zaznaczyć pewne rysy zrzeszenia ogólno-szkockiego, o ile przedstawiają one coś nowego. Mianowicie ześrodkowało ono wszystkie zakłady swoje na tem samem miejscu — w Shieldhall pod Glasgowem. Organizacya wytwórcza, scentralizowana w ten sposób, rozpada się na 16 departamentów, fabryki są zbudowane według najnowszych przepisów hygieny, robotnicy są członkami zrzeszenia, jest urządzona kuchnia według najlepszych wskazówek techniki z całym sztabem kuchcików.

Oba związki, jakeśmy zaznaczyli, współdziałają na tem samem polu, bez cienia zazdrości lub współzawodnictwa. Co więcej, pomagają one sobie systematycznie: pospołu trzymają tych samych agentów w Irlandyi, Niemczech, Danii, w N. Yorku i w Montrealu, obecnie zaś krzątają się około zawiązania stosunków z Australią i Nową Zelandyą. Również sprowadzanie herbaty, kawy i kakao odbywa się wspólnie — w tych przypadkach organizacya nabywcza przedstawia interes 1,200,000 członków, tj. przynajmniej pięć razy większej liczby osób, bo zwykle każdy członek posiada rodzinę. Świeżo wzmocniono stosunki jeszcze nowemi zobowiązaniami. Każdy ze związków jest na swoją okolicę jedynem biurem dla sprzedaży produktów, wytwarzanych przez współtowarzysza.

Zbyteczna nadmieniać, iż związki spożywcze są urządzeniami nawskróś demokratycznej natury, gdyż zasada zrzeszenia nie pozwala na inną formę. Nie będziemy wdawali się w to, w jaki sposób urzeczywistniło ono tani rząd i pomimo złożonej a rozproszonej organizacyi umożliwiło kontrolę nad czynnościami wykonawców. Zaznaczymy tylko, że władza prawodawcza znajduje się w ręku sejmu, zbierającego się co kwartał, każde stowarzyszenie wysyła przedstawicieli odpowiednio do liczby członków, co kwartał również ogłaszane są sprawozdania drobiazgowe. Bieżącemi sprawami kieruje komitet z 16 osób, z których każda po dwu latach usuwa się, oczekując, czy współtowarzysze zechcą i nadal powierzyć jej tę godność. Powstała więc przewyborna szkoła nietylko zrzeszenia, ale i samorządu, która wyrobiła sobie z czasem zdolne siły administracyjne. Właśnie o ten szkopuł rozbija się najwięcej zrzeszeń początkujących. Związki angielskie nie obawiają się dzisiaj takiej przeszkody: maszynerya, w ruch wprawiona, działa, korzysta z inteligencyi osób pojedynczych i pod naciskiem własnego parcia rozwija się coraz dalej i zagarnia nowe pola gospodarstwa prywatnego. Tylko na podstawie podłoża blizko 30-letniej praktyki mogła powstać w głowach marzycieli kooperatyzmu myśl, ażeby z biegiem czasu całą Anglię przekształcić na jedno zrzeszenie spożywcze, produkujące wszystko, co trzeba, na własnych warsztatach i na własnej ziemi, mieszkające w własnych domach.

K. R. Ż.

W DALI.

Lublin. O klęskach żywiołowych, któremi lato obecne darzy nas obficie, *Gazeta lubelska* podaje następujące szczegóły. D. 27 czerwca szalała trąba powietrzna w powiatach Krasnostawskim i Zamojskim. Rozpoczęła się w lasach ordynackich koło Wysokiego, gdzie nałamawszy masę drzew, przeszła do Żółkiewki. Tu zerwała dach z kościoła i bożnicy, oraz kilku domów. W Średniej Wsi zerwała dach na stodole i wyrwała oborę. Największe jednak zniszczenie burza spowodowała w Woli Żółkiewskiej. Tu obaliła stuletnie topole i lipy. Cztery budynki murowane i pokryte papą lub gontem, obora, owczarnia, śpichlerz zupełnie zrujnowane; całe odłamy dachów znajdowano o 500 kroków od budynków. Oparkanienie dziedzińca zupełnie zniszczone. W lesie potężne sosny wyrwane z korzeniami leżą pokotem w ilości około 3,000 sztuk. Straty w tym majątku wynoszą do 20,000 rubli. We wsi Olchowiec burza wyłamała całą aleję topolową oraz spustoszyła doszczętnie las. W nocy tegoż dnia burza gradowa przeszła przez Surhów, Siennicę Różaną, Borów, Żdżanne i Zwierzyniec, wybiwszy doszczętnie zasiewy; zboże zaczęto kosić na paszę. W majątku Łosień od pioruna spalił się cały folwark. W Dąbiu, Pilaszkowicach, Krzywem i Bobrowem orkan poczynił również straszne spustoszenia w zasiewach. Ogółem straty obliczają na 200 tys. rubli. P. Edward Chrzanowski, b. radca dyrekcyi głównej Tow. kred. ziems. straty swoje, według zapewnienia *Słowa*, oblicza na 70,000 rubli.

Wilno. Z różnorodnych spraw miejskich, które są na porządku dziennym, jedną z najważniejszych jest oświetlenie miasta elektrycznością. Zabawno to jest "przekonywanie się" o rzeczach wypróbowanych i znanych już powszechnie! Według zapewnienia korespondenta *Gazety Polskiej* komisya, wydelegowana przez wileńską „dumę," doszła do przekonania o znacznej wyższości pod każdym względem tego sposobu oświetlenia od istniejącego dotychczas gazowego. Ale berlińskie towarzystwo gazowe, działające dotąd w Wilnie, tak łatwo ustąpić nie chce. Próby dobrowolnego porozumienia się i układów spełzły na niczem. Pozostaje więc tylko droga sądowa i „duma" miejska zmuszona była przystać. Sprawę miasta popierać będzie adw. przys. Szostakowski. Pretensye miasta do towarzystwa berlińskiego za nieoczyszczenie w oznaczonym terminie z rur gazowych ulic, magazynów, mieszkań itp. określone są na sumę, wynoszącą około 100,000 rs. Co do oświetlenia elektrycznego, to istnieje projekt zaopatrzenia Wilna w lampy na przestrzeni 24 wiorst. Potrzeba będzie na to 8 lamp łukowych pierwszorzędnych, 246 średnich i 112 mniejszych. Oprócz tego zapotrzebowania prywatne określono na 6,000 lamp, o sile 16 świec każda. Oświetlenie elektryczne ma objąć główną, środkową część miasta od plantu kolejowego do Wilii i Wilejki. Ponieważ uznano, iż dla oświetlenia praktyczniejsze będą stałe prądy elektryczne, więc stacyę centralną należy urządzić bezwarunkowo w środku miasta. W tym celu duma uznała, iż najodpowiedniejszem miejscem będzie plac w pobliżu gmachu pofranciszkańskiego. Stacya musi być przytem zaopatrzona w wodę. Duma więc asygnowała 2,000 rs. dla specyalisty hydrotechnika, który ma określić najpraktyczniejszy sposób dobycia tam wody i plan odpowiedni przedstawić.—*Goniec Urzędowy* ogłasza wykaz 8 majątków ziemskich w gub. Grodzieńskiej, Kowieńskiej i Wileńskiej, wystawionych na sprzedaż w biurze rządu gubernialnego wileńskiego w d. 14, 15, 21, 26 lipca i 8 sierpnia za długi, tj. niedobory podatkowe, a w kilku wypadkach i za długi bankowe. W większości niedobory wynoszą drobne kwoty: 223, 415, 480 rs. itd., i tylko na dwu majątkach ciążą długi po 12,000 i 45,500 rs. Zamieszczając wykaz tych majątków, *Goniec Urzędowy* podaje następujące przepisy: 1) Na zasadzie uwagi 1 do art. 221 t. XVI cz. 2 ust. o egzek. cywil., wyd. 1892 r., sprzedaż drogą licytacyi dóbr ziemskich w gub. Grodzieńskiej, Kowieńskiej i Wileńskiej ześrodkowana jest w rządzie gubernialnym wileńskim i odbywa się w dwóch terminach: w styczniu i w lipcu. 2) Sprzedaż majątków drogą licytacyi w rządzie gubernialnym wileńskim dokonywa się na zasadzie praw ogólnych (wyd. 1892 r.). 3) Nabywać majątki w kraju północno-zachodnim mogą wszystkie osoby pochodzenia niepolskiego i nie-żydowskiego. 4) Z ulg niżej przytoczonych, zgodnie z Najwyżej zatwierdzoną d. 5 marca 1864 r. uchwałą komitetu zachodniego i dodatkowymi przepisami, mogą korzystać, przy kupnie majątków, osoby pochodzenia nie-polskiego, urodzone we wszystkich guberniach państwa i wszelkich stanów, oprócz Żydów (ukaz senatu rządzącego z d. 3 kwietnia 1864 roku). 5) Osoby pochodzenia rosyjskiego, nabywające majątki od osób pochodzenia polskiego, na zasadzie Najwyżej zatwierdzonej d. 20 stycznia 1867 r. uchwały komitetu ministrów (ukaz senatu rządzącego z d. 9 lutego 1867 r.) wolne są przy zawieraniu aktów kupna-sprzedaży od opłaty podatków stemplowych. 6) Ulgi według Najwyżej zatwierdzonej d. 5 marca 1864 r. uchwały komitetu zachodniego i przepisów dodatkowych, są następujące: a) Kupujące na licytacyi majątek, zastawiony w instytucyi kredytowej lub obciążony długiem skarbowym, nabywca ma prawo przepisania na majątek kupiony jednego i drugiego długu w sumie nieprzewyższającej szacunku dóbr, z zobowiązaniem spłacenia w ciągu 37 lat, w stosunku 6 rocznie (ustawa 5 marca 1864 r., art. 4). b) Osoba, która nabyła na licytacyi majątek, na zasadzie świadectwa ulgowego, ma prawo, płacąc w dniu licytacyi zadatek gotówką, uiścić pozostałą sumę nie koniecznie gotowizną, lecz i papierami procentowymi państwowymi, według przepisów, wyłuszczonych w ukazie senatu z d. 23 marca 1868. c) Wraz z przywilejem powyżej określonym, nowonabywca tudzież spadkobiercy i następcy jego przyjmują zobowiązanie zachowywać przepisy, zawarte w art. 26 i 27 uchwały z d. 5 marca 1864 r., zakazującej nabyty majątek oddawać w dzierżawę lub w zarząd osobom pochodzenia polskiego i Żydom. 7) Informacye szczegółowsze w przedmiocie nabywania majątków w kraju północno-zachodnim można znaleźć w „Zbiorze rozporządzeń rządowych, dotyczących wprowadzenia własności ziemskiej rosyjskiej do tegoż kraju," wydrukowanym z postanowienia generał-gubernatora wileńskiego, kowieńskiego i grodzieńskiego.

KRONIKA.

Wiadomości społeczne. Otworzona niedawno przy stowarzyszeniu spożywczem urzędników i oficyalistów kolei Warszawsko - Wiedeńskiej czytelnia, w tych dniach, jak donosi *Słowo*, rozpoczęła wysyłanie książek na linię przy pomocy wagonów sklepowych i pod kontrolą urzędników stacyjnych. Pierwsza czytelnia kolejowa posiada księgozbiór złożony z 1476 dzieł i wydawnictw w 1,641 tomach, nabytych i oprawionych z funduszu przeznaczonego na ten cel przez bar. Kronenberga, prezesa rady zarządzającej.

„Stłumienie kwestyi." Artykuł *Prawdy* p. t. „Z za kulis pracy," w którym poruszono sprawę bytu pracowników cukierniczych, wywołał niepokój śród zarobkodawców. Wszystkie cukiernie zmówiły się i schowały przed publicznością ten numer *Prawdy*. Taką drogą właściciele cukierni starają się „stłumić kwestyę," dowodząc tym sposobem, jak dalece wymaga ona niezwłocznego uregulowania.

Szkoły. W sekcyi muzyki i śpiewu kościelnego przy Towarzystwie muzycznem w Warszawie otwarto kursy gry na organach, na które się zapisało 40 organistów z różnych stron kraju.

— Od nowego roku szkolnego w uniwersytecie warszawskim rozpoczęte będą publiczne wykłady wieczorne z zakresu różnych dziedzin wiedzy. Prelegentami będą profesorowie uniwersytetu, a od słuchaczów opłata wyniesie po 2 ruble za 12 odczytów. Dla młodzieży szkolnej niższa.

— Magistrat warszawski postanowił otworzyć w r. p. 20 nowych szkół początkowych i przeznaczył na ten cel około 42,000 rubli rocznie, przez co wydatki na szkoły dosięgną sumy 250,000 rubli, tj. około 0,4°/₀ budżetu miejskiego.

— Zarząd m. Warszawy wyraził gotowość ofiarowania na politechnikę połowę placu wystawowego, to jest około 10,000 sążni kwadr. Nadto oświadczył, że zachowa dla tego zakładu jeszcze około 5,000 sążni kwadr. na wypadek, gdyby okazała się potrzeba rozszerzenia budynków. Grunty te przechodzą na rzecz politechniki wraz z istniejącymi tam budynkami wystawowymi, których wartość łącznie z parkiem oceniono na sumę przeszło 50,000 rubli.

— *Torg. Prom. Gaz.* donosi, że ministeryum skarbu zatwierdziło ustawę szkoły handlowej prywatnej Chankowskiego w Warszawie. Kurs trzyletni, niezależnie od klasy przygotowawczej. Wstępujący do pierwszej obowiązani są złożyć świadectwo ukończenia kursu dwuklasowej szkoły miejskiej. Opłaty: w klasie przygotowawczej 75 rub., w innych 100 rub. rocznie.

— Przy towarzystwie architektów w Petersburgu stworzono osobną komisyę, która się zajęła sprawą rozwoju dziedziny artystycznej w zakresie wykształcenia niższego i średniego. Otóż obecnie, jak donosi *Now. Wr.*, komisya ta przyszła do wniosku, iż niezbędne jest w tym celu rozszerzenie działalności Towarzystwa. Jeszcze w r. b. musi być wydany początkowy kurs rysunków, oparty na najnowszych metodach. Dla szkół średnich postanowiono wydać szereg dużych tablic ściennych, wyobrażających różne zapytki sztuki według narodowości, epoki, stylów itd. Będą one porozwieszane w salach rekreacyjnych. Dla rozwoju zaś poczucia artystycznego śród publiczności Towarzystwo ma zamiar urządzać możliwie najczęściej pogadanki odpowiednie, wystawy przedmiotów produkcyi artystycznej i przemysłowej, ogłaszać konkursy i wydawać miesięcznik p. t. „Sztuka i wytwory artystyczne."

Koleje i komunikacye. Linia Kalisko-Warszawska ma się zaczynać w Warszawie od rogatki Jerozolimskiej z lewej strony plantu kolei Wiedeńskiej i prowadzić będzie do Włoch, przecinając wiaduktem plant kolei a następnie dalej do Błonia, Sochaczewa, Łowicza, Łodzi, Łasku, Sieradza, Opatówka, Kalisza. Nadto rozpoczną się w tych dniach studya nad drugim środkowym kierunkiem linii: od Opatówka przez Uniejów, Łęczycę i Pniewo. Po ukończeniu studyów kolej Wiedeńska projekty prześle do ministeryum komunikacyj.

Przemysł i handel. Włościanki z pow. Kieleckiego, osiadłe w pow. Stopnickim, na gruntach majątków rozparcelowanych, stały się krzewicielkami przemysłu tkackiego pomiędzy kobietami w powiecie Stopnickim. Wyuczywszy się od włościanek z pow. Kieleckiego tkactwa, zaczynają wyrabiać płótna i wełniaki nietylko na domową potrzebę, lecz i na sprzedaż. W pow. Kieleckim 20,000 kobiet wiejskich trudni się tkactwem. Jest to przemysł od wieków w tych stronach upowszechniony. *(Słowo).*

— Prawie we wszystkich wsiach podolskich kosztem gmin otwarto sklepy spożywcze, które pomyślnie się rozwijają, dostarczając włościanom tanich a dobrych produktów i przyczyniają się do powiększenia funduszów gminnych. *(Wołyń).*

Ochrona lasów. Z powodu zamierzonego wprowadzenia w życie, w całej objętości, prawa o ochronie lasów w Królestwie Polskiem, jak donosi *Warsz. Dniew.*, ministeryum rolnictwa i dóbr państwa delegowało naczelnika wydziału departamentu leśnictwa, Pryleżajewa, w celu: 1) bliższego zapoznania się, przy pomocy miejscowych urzędników ministeryum rolnictwa, z wszelkiemi przeszkodami do właściwego załatwienia tej ważnej sprawy, mogącemi powstać w praktyce, w zależności od specyalnych warunków miejscowych; 2) wyszukania środków i sposobów do usunięcia tych przeszkód; 3 udzielenia zarządzającym dobrami skarbowemi i ich zastępcom, a w miarę możności innym leśnikom odpowiednich wskazówek i wyjaśnień co do sposobu wprowadzenia w życie prawa o ochronie lasów; 4) zaznajomienia gubernatorów Królestwa Polskiego z poglądami ministeryum rolnictwa, oraz kierunkiem, jakiego trzyma się ministeryum przy stosowaniu prawa rzeczonego w pozostałych miejscowościach państwa.

Zmarli Anastazy Trapszo w Krakowie, zdolny aktor. Przez pewien czas był reżyserem teatru Rozmaitości w Warszawie, później dyrektorem trupy prowincyonalnej.

Redaktor i wydawca dr. fil. Al. Świętochowski.

Дозволено Цензурою. Варшава 3 Іюля 1893 г.

Druk K. Kowalewskiego. Warszawa, Mazowiecka, Nr. 8.